Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta.

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok VI. *Niedziela, dnia 6 listopada 1938 r.* Nr. 45



Jesienią...

A kiedy jesień,
złocista jesień,
Zalśni w kras swoich przepychu,
Znów pełna marzeń i słów uniesień —
Spoglądam w świata dal cichą.

I chociaż sercu,
smutnemu sercu,
Żal spocząć nigdy nie daje,
Myśl teraz nagle w mózg mój się wwier
Że szczęście bliżej mnie staje.

Że ginie szarość,
codzienna szarość,
I słońce płonie, jakby goręcej,
Że błękit ściemniał w swoich obszarach
I uśmiech ludzki jest szczery więcej...

Maria Zemmlerówna

ADAM CZEKALSKI

7)

Hollywood

POWIEŚĆ

A potem znowu lecieć na scenę poczęły czapki, kapelusze, chustki, szale, kwiaty i znowu wrzaskliwe brawa napełniły salę.

Kaja stała wciąż na tym samym miejscu jak we śnie. Wydawało jej się, że śpi i wszystko to, co dzieje się dokoła, śni jej się tylko. Dopiero głos Longa sprowadził ją na ziemię, przywrócił do rzeczywistości, więc ocknąwszy się, ukłoniła się raz i drugi i zniknęła za ekranem.

Padła na podsunięty jej fotel i oddychała szybko, urywanie, jakby tchu złapać nie mogła. Nad nią stał Long i poprawiając raz za razem monokl w oku, uśmiechał się tylko, bo i on wzruszony był bardzo. Wszakże tymi oklaskami nagradzano również i jego za doskonałą reżyserię. Bez dobrego reżysera najlepszy scenariusz wyjdzie blado i słabo. A Long był reżyserem pierwszej klasy i jego sława równa była jego zdolnościom.

Po defiladzie pomniejszych „gwiazd", biorących udział w tym filmie, przed oczami widzów, pokaz uważać należało za skończony. Wychodzono jednak z sali powoli, jakby niechętnie, oglądając się, czy nie zobaczą znowu wśród siebie bohaterki dzisiejszego wieczoru. Ale Kaja nie pokazała się już więcej dzisiaj. Bocznym wyjściem Long wyprowadził ją na ulicę. Tutaj wsadził do auta i poleciwszy artystkę opiece Teara, wyprawił ją do domu.

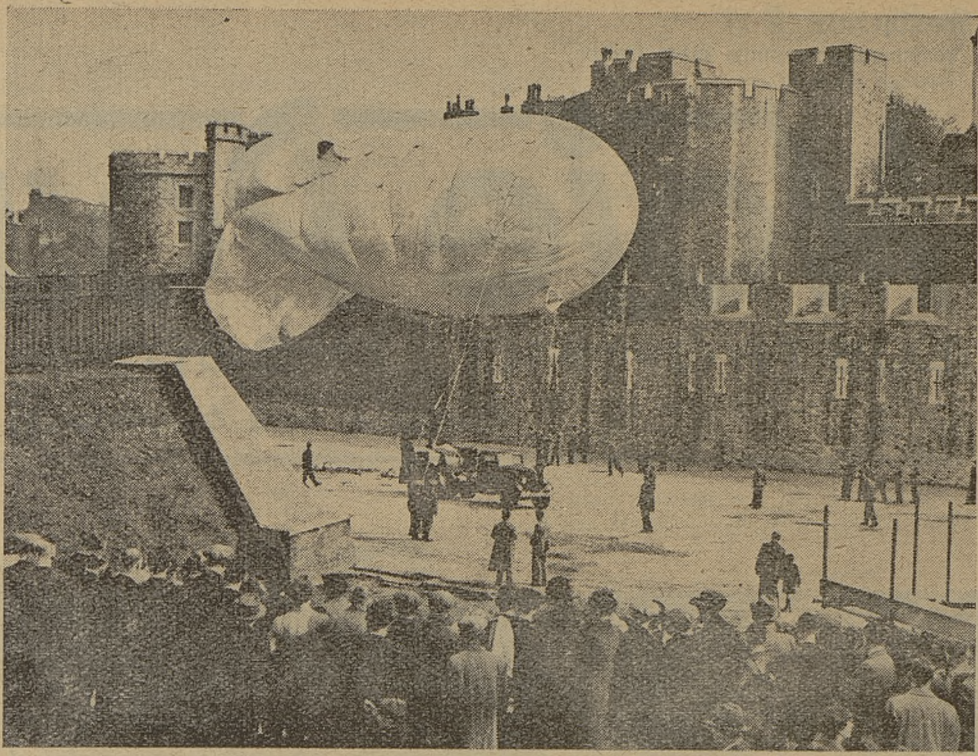
X.

SLIM ZAKOCHANY

Mister Slim O'Conor, który dotychczas traktował Kaję dość lekko, biorąc ją za przeciętną artystkę filmową, którą przy pomocy reklamy lansuje się tylko na gwiazdę, po pokazie pierwszego filmu tej „małej miss de Rieth" zmienił do gruntu zdanie. Z natury lekkoduch, który za cały



Kobiety zatrudnione przy obronie przeciwlotniczej Londynu otrzymały specjalne umundurowanie ochronne



W ramach organizowania obrony przeciwlotniczej Londynu, użyto również balonów zaporowych. Na zdjęciu jeden z balonów w chwili startu

swój obowiązek uważał tylko wydawanie milionów papy, niewierzący w żadne ideały, był jednak człowiekiem wysoko wykształconym i miłośnikiem piękna. Trochę malarz, trochę śpiewak, trochę nawet pisarz — mister O'Conor znał się po trosze na wszystkim i od razu spostrzegł, że „mała de Rieth" ma duży talent i pewnie niebawem podbije cały hollywoodzki Olimp, zakasuje wszystkie tak świetnie błyszczące dotychczas „gwiazdy".

Nazajutrz po pokazie obładował się w łóżku wszelkimi możliwymi pismami i począł je wertować, szukając recenzyj z filmu „Śpiewam dla ciebie". Zaczął od pism miejscowych, potem przerzucił się na inne i w milczeniu rozczytywał się w hymnach i peanach pochwalnych na cześć zarówno samego filmu, jak również i głównej jego bohaterki, miss de Rieth. Premiery, jakie w jednym dniu odbyły się w setkach kin amerykańskich, zdobyły sobie szturmem publiczność. Dziennikarze prześcigali się w pochwałach, a że tym razem były one szczere i niezależne od jakichkolwiek ubocznych zastrzyków dolarowych, o tym O'Conor wiedział dobrze. I dlatego cieszył się, że film się udał. Cieszył się tak, jakby i on osobiście był zainteresowany w powodzeniu tego filmu.

Około godziny 2-ej po południu zjadłszy drugie śniadanie, wziął auto i pojechał do Kai. Na balu w windzie, w dniu ich poznania, Kaja wyraziła przecież życzenie, aby ją kiedyś odwiedził. Na premierze nie miał kiedy pytać, czy może go dzisiaj przyjąć, ale niemniej pewnie przyjmie go chętnie. Tak rozmyślając, jechał wolno do willi gwiazdy.

Kaja wciąż jeszcze znajdowała się jakby we śnie. Ten pierwszy film zrobił na niej wprost niezwykłe wrażenie. Poczuła na sobie wiew sławy, który biegł ku niej ze wszystkich stron obszernych Stanów Zjednoczonych. Wszystkie pisma, bez różnicy kierunków i języka, w jakim były drukowane, przyznawały jej bezsprzeczny wielki talent i rokowały jak najlepszą przyszłość. Wszystko w niej, zarówno postać cała, jak poszczególne części twarzy, dalej gesty, głos — wydawało się redaktorom „fenomenalne". Pisano nawet, że już ten pierwszy jej film stawia ją na piedestale najsławniejszych „gwiazd" filmowych. Czytając to wszystko, Kaja dostawała chwilami zawrotu głowy. Ale bo też było się czym upić. Jednego tylko pragnęła najbardziej w tej chwili, aby Roger stanął możliwie najrychlej na ziemi amerykańskiej i na własne oczy mógł zobaczyć jej triumf. I na myśl o tym, jakie oczy zrobi Roger, uśmiechała się zadowolona.

W takim też była nastroju, gdy lokaj oznajmił jej przybycie mister Slima O'Conora, który zapytywał, czy może jej złożyć swoje uszanowanie.

Kazała prosić.

Slim wszedł nieco zażenowany i jak gdyby ktoś niepewny. Powitawszy ją, nie rozpoczynał rozmowy, jak to miał w zwyczaju, od złośliwości i obmawiania bliźnich, wspólnych znajomych, ale rzuciwszy tylko pobieżnie okiem na stosy gazet, zaścielające wszystkie zakamarki obszernego pokoju, westchnął tylko.

— Czy pan chory, mister O'Conor? — spytała Kaja złośliwie.

— Dlaczego?

— Bo wzdycha pan tak bardzo boleśnie.

— Ach, o to chodzi! Nie, pani, jestem zdrów, jak nigdy może dotąd, ale patrzeć nie mogę na tę wszelką bibułę.

— Czemu to?

— Bo czuję, że ta bibuła i te wszystkie peany, jakie tam o pani napisano, staną się barierą między nami.

— Niechże pan nie tragizuje, mister O'Conor. Między nami nie może być żadnego innego stosunku, oprócz przyjacielskiego, i oprócz bariery w postaci mojego męża, żadna inna nie stoi.

— Pani znowu szachuje mnie swoim mężem! Czy nie moglibyśmy wyeliminować go ze swoich rozmów w ogóle?

— Niestety, nie. Mąż mój zajmuje w moim życiu taką poważną pozycję, że nie da się ona wyrugować.

— Ejże, zdaje mi się, że po drugim filmie zmieni pani zdanie.

— A mnie się zdaje, że nigdy to nie nastąpi.

— Dlaczego?

— Mój Boże, tyle razy już to panu powtarzałam, że nareszcie powinien pan zrozumieć.

— Może w innych warunkach mógłbym to zrozumieć, teraz jednak nie mogę. Miss de Rieth, proszę mnie posłuchać: powiedziałem pani w chwili prawie naszego poznania, że ją pokochałem. Ja sam myślałem, że to żart, dzisiaj jednak przekonywuję się, że ten żart zapuścił bardzo głębokie korzenie. Mówię szczerze: nie mogę żyć bez pani.

— Czy dzisiaj przyszedł pan po to jedynie, aby mi to powiedzieć?

— Prawie że po to jedynie.

— I czegoż się pan spodziewał? Jakiej odpowiedzi?

— Jedynej, jaka w danych warunkach nastąpić powinna: żyjemy w Stanach Zjednoczonych, gdzie obyczaje europejskie dawno już straciły prawo obywatelstwa, zapewne w okresie, kiedy nasi przodkowie wypędzili stąd Anglików, a więc przed półtora wiekiem. A obyczaje tutejsze są zupełnie odmienne i inaczej ujmują kwestię szczęścia osobistego ludzi. W tych warunkach nie ma żadnego sensu powoływać się na takie racje, jakie pani wywiodła przed chwilą, że przysięga małżeńska, złożona jednemu mężczyźnie, nie może być rozwiązana wcześniej, jak dopiero wraz ze śmiercią. Proszę mi wierzyć, że w tym tyglu, który się nazywa „Hollywood", nie ma zapewne ani jednej „gwiazdy", która nie rozwodziłaby się co najmniej kilkakrotnie.

— Owszem, jestem na tym punkcie coś nie coś uświadomiona, ale to jeszcze nie przemawia mi wcale do przekonania, abym i ja w podobny sposób miała postępować. W ogóle byłabym bardzo zadowolona, mister O'Conor, abyśmy do tematu tego nigdy już nie wracali. Moja moralność katolicka nie dopuszcza bowiem możliwości łamania wiary i przysięgi małżeńskiej.

— Moralność katolicka, moralność katolicka... Niechże pani nie będzie większą katoliczką od papieża. Nie żyjemy w średniowieczu, kiedy kwestie wyznaniowe były wszystkim dla człowieka. Stany Zjednoczone są państwem tolerancyjnym i sprawy wiary zostawiają każdemu obywatelowi na użytek prywatny. I to jest najrozsądniejsze wyjście z sytuacji. My nie obawiamy się żadnych tarć religijnych, żadnych wojen wyznaniowych. Każda sekta religijna może sobie tak urządzać własne życie, jak jej się to żywnie podoba.

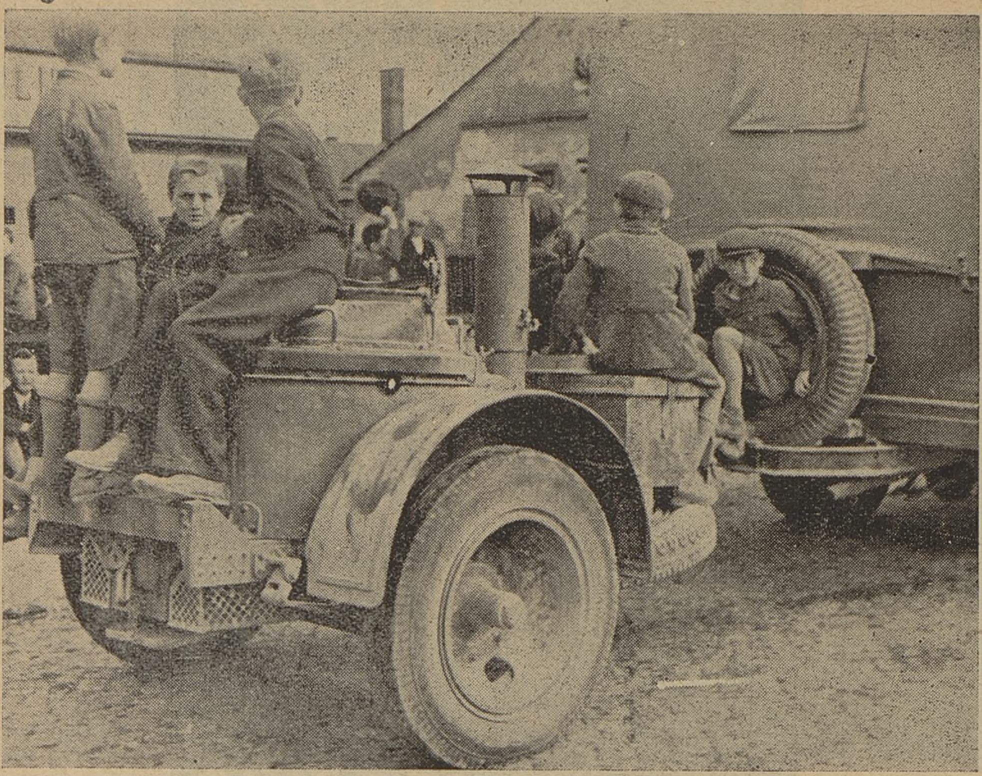
— Protestuję, mister O'Conor, przeciwko podciąganiu katolicyzmu do rzędu sekt! — zaperzyła się Kaja. — Kościół katolicki w ciągu dwudziestu wieków swojego istnienia jest jedynym Kościołem prawdziwym, który nie zboczył z wytkniętej mu przez Chrystusa drogi ani na włos. Idzie on drogą swej wielkiej misji i posłannictwa i na pewno do celu dojdzie. My jesteśmy przedstawicielami cywilizacji uniwersalnej, która ogarnie w przyszłości cały świat.

— Jesteście zatem jedną z tak licznych i modnych międzynarodówek, a zatem owa partyjność i partykularność odbiera wam podstawy zawojowania świata.

— Nigdy na świecie! Ludzkość od wieków, choć podświadomie, lecz konsekwentnie, zmierza do stworzenia cywilizacji uniwersalnej. I w tym dążeniu Kościół katolicki odgrywa pierwszorzędną rolę... Należy odróżnić internacjonalizm od uniwersalizmu. Istnieją międzynarodówki w polityce, które powstają bądź to przez realizowanie jakiejś doktryny społecznej np. Kominternu, bądź też jako metody współżycia narodów przez dyplomację np. Liga Narodów. Istnieje międzynarodówka gospodarcza — to finansjera międzynarodowa, skupiająca najpotężniejsze atuty kapitału, która po dziś dzień narzuca władzę rynkom podaży i zbytu na całym globie. Ale te międzynarodówki w tworzeniu cywilizacji uniwersalnej stanowią raczej przeszkodę. Doktryny bowiem społeczne, sztucznie stworzone przez taką czy inną jednostkę, jak np. marksizm, próbujący zaaplikować uniwersalną receptę przeciwko dolegliwościom życia zbiorowego bez względu na różnice rasowe i narodowościowe i wyznaniowe — w praktyce okazują się nie do urzeczywistnienia i wywołują jeszcze większe rozłamy w ludzkości. Nie jest bowiem w mocy człowieka — choćby posiadającego najpotężniejszy umysł — stworzyć taką uniwersalną metodę współżycia, która by odpowiadała rzeczywistym potrzebom umysłów, sumień i serc ludzkich



Z okazji stulecia istnienia wiedeńskiego Burg theatru, reprodukujemy zdjęcie przedstawiające ten słynny teatr



„Zmotoryzowana“ kuchnia polowa wzbudza wśród młodzieży zrozumiałe zainteresowanie.

— Otóż właśnie, otóż właśnie! W jakiż zatem sposób może się to, co geniuszom się nie udaje — udać katolikom?

— W bardzo prosty sposób. Typ człowieka globowego, uniwersalnego, stworzony przez życie nadprzyrodzone Kościoła, nie zatraca swych cech naturalnych. Kościół w swym oddziaływaniu nie niweluje bynajmniej ani cech rasowych ani narodowościowych, lecz podnosi to, co jest w jednostce, rodzinie, narodzie lub w całej masie, do wyższego poziomu współżycia. Między katolikami całego globu, którzy rzeczywiście posiadają w sobie pierwiastki życia nadprzyrodzonego, tworzy się silny węzeł duchowy i wspólnota silniejsza ponad więź antropologiczną... Ani język wspólny, ani tradycja, ani krew i gleba wspólna, na której wyrastają pewne typy zbiorowości ludzkiej, nie są w stanie stworzyć tak silnej spójni (czego dowodem choćby dzisiejsze walki w Hiszpanii), jak duchowy współudział w nadprzyrodzonym współżyciu uniwersalnego czyli katolickiego Kościoła...

— Będzie to zatem katolicki „robot“?

— Nic podobnego! Powstanie „człowieka globowego“ w stylu katolickim, to nie sztuczny amalgamat, który chcą stworzyć międzynarodówki, ignorujące właściwości odrębne rasy i narodu... Kościół w sposób pozytywny ustosunkowuje się do tak ważnego prądu zbiorowego życia, jak nacjonalizm, w ujęciu bowiem katolickim ruch narodowy stanowi naturalny przejaw życia zbiorowego. Umiłowanie wspólnego języka, tradycji, pielęgnowanie własności odrębnej psychiki narodowej, o ile jest utrzymane w granicach powszechnej etyki katolickiej — stanowi najtrwalsze podłoże do wytwarzania typu człowieka globowego, który potrafi żyć kategoriami ogólnoludzkimi, zachowując jednak odrębny swój styl indywidualny i narodowy.

— Wątpię, madame, ażeby w wieku dwudziestym, tak zmaterializowanym i uprzemysłowionym, udało się katolicyzmowi osiągnąć na tym polu jakikolwiek sukces.

— Właśnie że dzisiaj, w wieku dwudziestym, w którym technika skracająca czas i przestrzeń na całym globie, przyspiesza tworzenie cywilizacji uniwersalnej — katolicyzm będzie zbierał coraz większe triumfy. Dziś już bowiem narasta w wielu społeczeństwach podświadome jeszcze, ale potężne pragnienie oparcia się — w tym zmaganiu się i chaosie politycznym i gospodarczym, jaki przeżywamy — o jakiś trwały autorytet, uniwersalny autorytet, który by regulował dążenia ogólnoludzkie u samej podstawy t.j. w sumieniu.

I dalej: dzisiaj uniwersalizm wiedzy i techniki — ta powszechna wymiana poglądów i nastrojów na całym globie przez prasę i radio, kino i kongresy specjalistów, naukowców i artystów — sprawi niezadowolenie, że człowiek czasów nadchodzących będzie coraz intensywniej przeżywał przemiany i dążenia ogólnoludzkie. Wynika stąd, że potężny nowoczesny rozwój techniki, ułatwiający poprzez skrócone elementy czasu i przestrzeni, wymianę wartości duchowych na całym globie — stworzy raczej atmosferę przychylną dla celów uniwersalnych, ku którym zmierza Kościół.

— To wszystko jest muzyką przyszłości, może jeszcze ogromnie oddalonej przyszłości, w której my już żyć nie będziemy i cóż nam zatem po szczęśliwości pośmiertnej? Madame, lepiej wróćmy do rzeczy aktualniejszej, zstąpmy z niebiosów na ziemię i zastanówmy się nad bliższymi nam sprawami.

— Wszakże te sprawy, o których rozmawiamy, są sam najbliższe.

— Nie, to są sprawy bardzo odległe. Bliższą jest dla mnie pani sama, którą kocham. Ja bowiem tu, na ziemi, dzisiaj, czy też od dzisiaj pragnę być szczęśliwym. I w tym celu przychodzę do pani i powiadam: jestem bogaty, tak bogaty, że mogę pani stworzyć raj na ziemi za jedno przychylne słowo i za jeden uśmiech. Filozofię i mędrkowanie, dociekania i szukanie prawdy, której człowiek nie zna — zostawmy filozofom i uczonym.

— Niestety, muszę pana rozczarować, mister O'Conor gdyż nie mogę udzielić panu żadnej innej odpowiedzi, prócz tej, jaką dałam na samym początku. Nie mogę w żaden sposób wiązać się z panem, gdyż mam męża, którego kocham, a który za parę tygodni stanie już na ziemi amerykańskiej.

O'Conor z nieokreślonym uśmiechem na ustach powstał i stojąc przed Kają, odrzekł na to z naciskiem:

— Nie minie zbyt wiele czasu, a ja panią przekonam. Na świecie bowiem wszystko jest do sprzedania i wszystko do kupienia. Wszystko dzieje się dla pieniądza i przez pieniądz. Zrozumieli to już nawet starzy jak świat Hindusi, którzy tak to wyrazili: bogaci mądrością, bogaci latami — wszyscy stoją jak słudzy pod drzwiami bogatych w pieniądze.

— Jest to doktryna materialistów, której ja nie wyznaję.

— Ale ją pani będzie wyznawać, zanim minie pół roku.

— Nigdy!

— Zobaczymy.

— Zobaczymy.

— Oby się pani nie zawiodła na swojej pewności.

— Na pewno się nie zawiodę.

Kaja również podniosła się i teraz stała naprzeciw O'Conora w postawie wojowniczej, podobna do pięknego ptaka drapieżnego, który wyczuwa niebezpieczeństwo i stara się przybrać taką postać, która by z miejsca odstraszyła napastnika. Jej ruchliwe nozdrza falowały gwałtownie, oczy się iskrzyły szmaragdową zielenią, a opadłe na czoło loki jasnych włosów dodawały jej jeszcze więcej charakteru wojowniczego.

— Madame, widzę, że pani wypowiada mi wojnę — odezwał się znowu O'Conor — uprzedzam, że pani ją przegra.

— Nie jestem przyzwyczajona do ponoszenia klęsk.

— Jest pani zbyt słabym przeciwnikiem w danym wypadku. Pani będzie moją, z wolą lub bez woli własnej. Zapewniam.

— A ja zaręczam, że nigdy się to nie stanie.

— Stanie się na pewno. Uprzedzam, że nie jestem przywykły wycofywać się z placu walki jako pobity. Wydam może milion na tę wojnę z pani uporem, ale na swoim postawię. Żegnam panią.

— Do widzenia, mister O'Conor.

Elegancki milioner skłonił się sztywno i z tajemniczym uśmieszkiem na ustach opuścił apartamenty gwiazdy filmowej.

XI.

ZARZUCANIE SIECI

Pieniądze robią swoje. Dzięki dużym sumom, jakie O'Conor poświęcił na szczegółowy wywiad o Kai i jej mężu, niebawem mister Slim znał dzień i godzinę przyjazdu pana Rogera do portu w Nowym Jorku, jak również wiedział wszelkie potrzebne mu szczegóły o tym człowieku. Wiedział zatem, że Roger nie był człowiekiem z tej kategorii ludzi, dla których pieniądze stanowiłyby przynętę, gdyby w zamian należało wyzbyć się jakiejkolwiek wartości duchowej. Przeciwnie, pan Puroll pieniądz uznawał jako jedynie środek prowadzący do celu, ale nigdy jako cel sam w sobie. Mocnego charakteru, stałości zadziwiającej,

uparty i stanowczy, był przedstawicielem ludzi niezłomnych, którzy sto razy pobici, sto pierwszy raz stają do walki z nadzieją zwycięstwa. Na swoim stanowisku dyrektora jednego z oddziałów wielkiej firmy samochodowej amerykańskiej, która uważała tylko rezultaty pracy za najlepsze świadectwo i kwalifikacje, nie mógł zresztą być innym.

Chociaż zatem wywiad przeprowadzony przez Slima wyraźnie zapowiadał, iż bezpośrednie podejście Rogera przy pomocy pieniądza będzie trudne, jeśli w ogóle nie niemożliwe, O'Conor postanowił nie rezygnować z walki, ale ją podjąć i prowadzić, nie patrząc, jaki będzie jej rezultat. On również pochodził z rodziny, która tylko własnej wytężonej i twardej pracy zawdzięczała swoje miliony. A chociąż nieco zniewieściały, umiał w chwilach wymagających tego, zdobyć się na aktywność, jakiej trudno było po nim się spodziewać.

Z drugiej znowu strony, dzisiaj O'Conor nie mógł już zrezygnować z wygrania tej walki. Jego miłość do Kai przeradzała się zwolna w jakiś stan chorobliwy, którego ani on sam, ani inni nie mogli mu wytłumaczyć. Jego beztroska, swoboda, zasady życia motyla — przepadły gdzieś w jednej chwili. A na ich miejsce przyszła miłość gwałtowna i namiętna, która ogarnęła go płomieniem i, Bóg wie, na jakie zatracenie mogła zawieść. Mister Slim nigdy dotąd nie przeżywał nic podobnego. Miał w swoim życiu kobiet wiele, wśród których były kobiety wielkiej urody i wdzięku, ale żadna z nich nie wywarła na nim tak potężnego wrażenia, jak ta ostatnia, Kaja... Co to było? Przecież ani jej uroda, chociaż wysokiej klasy, ani jej sława „gwiazdy" filmowej, ani jakiekolwiek względy materialne nie mogły tu odegrać tak wielkiej roli. I nie te też czynniki wchodziły tu w grę. Kaja była inna, niż wszystkie kobiety, jakie znał dotychczas mister O'Conor. Była zupełnie odmienna od wszystkich znanych mu dotychczas „stars". Kaja miała charakter i miała wolę niezłomną. Wierzyła mocno w to, o czym tak obszernie wywodziła mu w czasie ostatniej jego u niej bytności i miała taki dar przekonywania, że to podobało się O'Conorowi. I wreszcie: Kaję nie zaślepiły miliony Slima ani jego bogactwo. W ogóle nie zwracała na nie najmniejszej uwagi. I na koniec: Kaja ośmieliła się przeciwstawić jemu, Slimowi O'Conorowi. To były właśnie te wielkie atuty, jakie podbiły Slima.

To wszystko zbudziło z drzemki duchowej tego zblazowanego młodego człowieka, któremu wydawało się zawsze, iż można być skończoną kreaturą ludzką przy milionach dolarów, a wszystkie rozkosze ziemi rozścielą mu się pod stopami. I dotychczas udawało mu się to. Nie było przedmiotu jego pożądania, którego by nie mógł osiągnąć. Kaja była pierwszym wyjątkiem, która zaprzeczyła własnym czynem zasadom mister Slima. To stało się jak gdyby ostrogą, która jęła podniecać O'Conora do najbardziej intensywnego działania w kierunku usidlenia przedmiotu swojego pożądania. Czy się uda?

— Musi się udać! — zawołał do siebie O'Conor z przekonaniem. — Mam tysiąc sposobów na rozbicie w proch jej katolickich zasad.

I następnie zabrał się do praktycznego stosowania tego „tysiąca sposobów". Przede wszystkim tedy zasięgnął informacyj o obojgu małżonkach, potem wezwał do siebie prywatnego detektywa, którego nieraz już używał do rozmaitych ciemnych sprawek, mister Thomasa Hemlocka, aby się z nim naradzić i powierzyć mu główną rolę w mającym się rozegrać dramacie.

Mister Hemlock, była to postać, która już z góry uprzedzała do siebie przychylnie. Średniego wzrostu, dość okazałej tuszy i oblicza owalnego, wiecznie uśmiechnięty dobrodusznie, oszukać mógł swoim wyglądem najlepszego obserwatora. Żaden przeciętny człowiek nie pomyślałby nawet, że ten dobroduszny jegomość jest zdolny spełnić czyn niegodny. A jednak Thomas Hemlock nie tylko spełniał w swojej przeszłości rzeczy niegodne, ale wręcz nawet częstokroć zbrodnicze. W swoim czasie stał nawet na czele bandy gangsterskiej, przemycającej „księżycówkę", zarabiając na tym procederze wielkie sumy pieniędzy; często wynajmował siebie i swoich towarzyszy ludziom bogatym i bez skrupułów i dopiero zniesienie prohibicji i zdecydowana walka władz stanowych ze światem przestępczym, a głównie specjalnej policji „g-manów" pod wodzą sławnego detektywa Hoovera, zmusiła go do ucieczki na drugi koniec Stanów Zjednoczonych, do Kalifornii.

Hemlock znał dobrze O'Conora, gdyż w przeszłości nader często wzywany był do willi milionera na poufne narady, skąd powracał zawsze bogatszy o parę tysięcy dolarów. Toteż, gdy tylko otrzymał wezwanie do stawienia się w stylowej willi mister Slima, wsiadł do samochodu i pojechał tam natychmiast, słusznie się spodziewając, że i tym razem, jak zawsze poprzednio, źle na tej znajomości nie wyjdzie.

O'Conor nie miał wielkiego zaufania do swojego totumfackiego, jeśli o stronę etyczną chodziło, natomiast wiedział dobrze, iż raz opłacony gangster, nie zdradzi nigdy swojego pieniądzodawcy. Kiedy więc boy zameldował przybycie Hemlocka, milioner kazał wpuścić go bezzwłocznie.

— Jestem na wezwanie, Sir — oznajmił się Thomas.

— Dobrze, siadaj i słuchaj, co ci chcę powiedzieć.

— Już siedzę i zamieniam się w jedno ucho.

— Oby nie w ośle. A więc: potrzebuję cię do pewnej sekretnej sprawy, bo mam do siebie zaufanie, że wywiążesz się należycie z zadania. Sprawa jest dość trudna, ale sądzę, nie dla ciebie.

Hemlock uśmiechnął się, jakby go największa rozkosz spotkała, a następnie spytał ciekawie:

— O co chodzi, Sir?

— Hemlock, czy ty wiesz, co to znaczy zakochać się w kobiecie na zabój? I to zakochać nie taką sobie przelotną miłostką, która wcześniej lub później minie, i nie w kobiecie, która nam się za tydzień lub miesiąc sprzykrzy, ale zakochać się trwale i w kobiecie wartej tej miłości?

— Ach, Sir, cóż łatwiejszego, jak zdobyć tę kobietę!

— O to właśnie chodzi, aby ją zdobyć. Tu jednak wyłaniają się wielkie trudności: kobieta ta stanowczo jest przeciwna zerwaniu z własnym mężem (trzeba ci bowiem wiedzieć, że jest ona Europejką, katoliczką i zamężną), ale wprost mi zapowiedziała, bym się nie łudził nawet, bo nigdy się to nie stanie w przyszłości.

— Na to jest rada przecież.

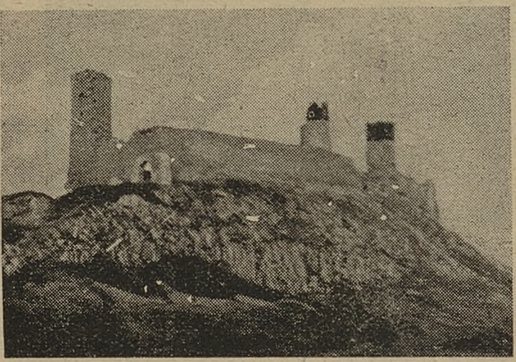
— Jaka?

— Pojedziemy do jej mieszkania, porwiemy ją i dostawimy tam, gdzie będzie potrzeba. Po pewnym czasie uspokoi się, zmięknie i będzie tak tańczyć, jak pan jej zagra, Sir.

— Nie, w tym wypadku tak nie można. Mam inny plan. Pojedziesz do Nowego Jorku i zaczekasz na okręt „Cornerstone", który przyjdzie z Afryki. Na okręcie tym przyjedzie niejaki Roger Puroll, dyrektor jednego z oddziałów firmy samochodowej. Postarasz się zapoznać z nim i spróbujesz wytargować od niej zgodę na rozwód ze swoją żoną, miss Kają de Rieth.

— Ach, Sir, więc to o tę dzierlatkę filmową chodzi?

— Tak, o nią. Ale słuchaj dalej: jeżeli mister Puroll będzie skłonny taką zgodę podpisać, to dobrze. Wypłacisz mu sumę umówioną i wrócisz natychmiast do mnie. Resztę ja sam wykonam. — A jeżeli odmówi, porwiecie go i wywieziecie do mojego pałacyku letniego w lasach nad Erie i stamtąd dasz mi znać o wyniku. Później wykonamy dalszy ciąg mo-



Ballada

(z poematu „Rycerz śmierci")

Za późno rycerzu... za późno...
sam król dziś zamku strzeże...
chwila — a dzwon rozpaczy,
w dzwon mego serca uderzy...
Za późno... rycerzu dzielny...
rycerzu... z bajki wyśnionej.
Spójrz, w oknach zamku na górze
światełka dwa blaskiem płoną...
A gdy zagaśnie z nich jedno...
wiedz, że nie ujrzę cię więcej...
Jak tajemniczo wiatr szumi —
noc splotła nade mną swe ręce...
Cicho... ktoś idzie... „żegnaj!"
„Przenigdy umiłowana"
„O, Boże... Boże... za późno...
uciekaj..."
„Zostaję, kochana!"
Spogląda i nie dowierza,
królewskiej warty grzmią kroki —
stanęli naprzeciw jej okna...
Zdumionym spogląda w krąg wzrokiem...
„Wstrzymajcie się... wstrzymajcie..."
„Przed kim?" — ktoś odpowiada —
„To on... to „Rycerz śmierci"...
Tak głosi tylko ballada...
„To jego duch tu krąży,
Królowo umiłowana..."
„Gdzie „Rycerz śmierci" — powiedzcież?"
„Nie żyje... królowo stroskana.
To jego duch tu błądzi,
Zbratany śmierci tchnieniem..."
„Odejdźcie, odejdźcie, On żyje
w krainie mego wspomnienia...
O, przybądź „Rycerzu śmierci"!
Czyli cię wzywam na próżno?"
— — — — — — — — —
„Odejść mi było za rychło...
Powrócić... jest mi za późno...!"

Józef Baranowski.



Już niedługo w wielkich miastach oglądać będziemy takie sceny.

jego planu. Uprzedzam tylko, Hemlock, że wszystko ma się odbywać w najgłębszej tajemnicy i ciszy. Nie chcę, aby sprawa wydała się natychmiast po porwaniu, bo to stało by się dużą przeszkodą w dalszym naszym postępowaniu.

— Postaram się w całości zastosować do życzenia, Sir, gdyż i w moim interesie będzie leżeć, aby się nie spotkać oko w oko z którymś z „g-manów" Roosevelta. Takie spotkanie na pewno na zdrowie by mi nie wyszło.

— Tym lepiej, że masz i własny cel w zachowaniu ostrożności.

Potem obaj panowie umówili się jeszcze co do wynagrodzenia, O'Conor wręczył Hemlockowi potrzebny tekst zgody na rozwód i wyprawił go w drogę, a sam ubrał się i pojechał do wytwórni „Black-bee-Film", gdzie nagrywano właśnie sceny do nowego obrazu z miss de Rieth.

O'Conor ulokował się w niewidocznym miejscu, za parawanem jakiejś dekoracji, i z tego ukrycia obserwował pilnie Kaję. Był zamyślony tak bardzo, że prawie nie rozumiał nic z tego, co działo się na scenie. Myślał o swoim planie, tak misternie ułożonym i odczuwał wielkie zadowolenie, że oto siedzi ukryty, dla nikogo prawie niewidoczny i może dowoli przyglądać się tej, która od dłuższego już czasu stała się powodem jego udręki moralnej. A gdy tak na nią patrzył, wydawało mu się, że widzi ją dzisiaj jeszcze piękniejszą, niż kiedykolwiek przedtem, a jego miłość staje się z chwili na chwilę gorętszą i namiętniejszą. I wtedy w duszy jego wzrastał upór, aby tę nieżyczliwą mu kobietę zdobyć dla siebie za wszelką cenę, choćby za utratę wszystkich milionów, jakie odziedziczył po ojcu.

Na takich rozmyślaniach zastał go „chief instructor", mister Abalone.

— Dzień dobry, mister O'Conor — powitał Abalone milionera. — Jakże pan znajduje nasze najnowsze dekoracje? Prawda, że te skały z „papier-maché", jakby żywcem przeniesione z wysp greckich.

— Istotnie — przyznał Slim — dekoracje piękne, ale o wiele piękniejszą wydaje mi się być miss de Rieth na tle tych skał.

— W rzeczy samej, całość bardzo udatna.

Kaja odgrywała właśnie w tej chwili rolę pasterki greckiej, która wyszła na wielką skałę samotnej wyspy i wypatruje na morzu statku, który ma przywieźć na swoim pokładzie młodzieńca, którego ona kocha. Morze to zaś, jak i skały — były sztuczne, a tak łudząco do rzeczywistych wód morskich i skał podobne, że w pierwszej chwili trudne były do rozeznania.

— Spodziewam się, mister O'Conor — odezwał się znowu Abalone — że na tym obrazku wytwórnia zarobi miliony. Scenariusz pierwszej klasy, aktorzy wyborni, dekoracje wprost wspaniałe...

— Uhm... — mruknął tylko O'Conor, gdyż scena, jaką w tej chwili miał przed oczami, zajęła go całkowicie. Oto do skalistej wysepki przybija statek, na którym jedzie pasterz. Widać go z daleka na pokładzie. Niewyraźny jest jeszcze, ale już możliwy do rozeznania. A oto miss de Rieth poczyna śpiewać. Uprzednio reżyser dał znak, aby zapanowało całkowite milczenie dokoła i milczenie to panuje wszędzie. Jest cisza obsolutna, a w tej ciszy rozbrzmiewa idealnie czysty głos Kai, śpiewającej starożytną pieśń miłosną grecką. Slim siedzi, jak by nagle wrósł w krzesło i stara się nawet nie oddychać, aby nie spłoszyć wrażenia piękna, jakie sączy się przecudnymi melodiami do jego serca.

I nawet nie zdaje sobie sprawy, jak szybko pieśń ta przebrzmiała. Teraz znowu widzi młodzieńca, jak heros grecki pięknego, ubranego w tunikę, który przypadł do pasterki na skale, zanim jeszcze okręt się zatrzymał i teraz odpowiada pieśnią na pieśń. O'Conor poznał w tym człowieku Charles Sfiwt'a, który wykaraskał się jakoś z afery o ciężkie uszkodzenie ciała, zadane Ted Haell'owi, i teraz występował w „Blackbee-Filmie". Tych dwoje tam na sztucznej skale wprost zahipnotyzowało O'Conora. Tworzyli tak piękną parę, jaką tylko wymarzyć sobie można było. Charles obejmował jedną ręką Kaję, drugą zaś wskazywał na morze i śpiewał głosem dość dobrym, ale bez porównania gorszym od głosu Kai. To jednak nie było ważne. Głos ten zostanie zdublowany później przez dobrego śpiewaka i widzom, którzy oglądać będą ten film na ekranie, wyda się, że to właśnie Charles śpiewa.

Scena skończyła się. Zgłoszono jupitery i aktorzy przeszli do kasyna wytwórni na posiłek. O'Conor podniósł się po chwili i w towarzystwie Abalone'a poszedł za aktorami.

Kaja zobaczyła go w drzwiach kasyna i w pierwszej chwili drgnęła nerwowo. Postanowiła sobie bowiem, że będzie unikać spotkań ze Slimem, a jeżeli w końcu okoliczności zmuszą ją do takiego spotkania, zachowa się sztywno, poważnie i nie pozwoli na żadną poufałość. O'Conora nie widziała już dość dawno, bo prawie od dnia owej rozmowy na temat uniwersalności katolicyzmu. Toteż to nagłe jego zjawienie się zaskoczyło ją dość niemile. Był to wszak jej wróg, który bynajmniej nie ukrywał się z chęcią walki z nią. Po chwili opanowała się i na powitanie O'Conora odpowiedziała skinieniem głowy, poczem, jakby nie widząc go więcej, zajęła się posiłkiem. Ale milioner nie zamierzał wcale pozostawić jej samej sobie. Przeciwnie, za chwilę znalazł się tuż przy niej i rzekł:

— Zagrała pani tę scenę na skale wprost po mistrzowsku. Jestem bardzo zadowolony zarówno z gry pani, jak i z jej śpiewu.

Kaja wzruszyła obojętnie ramionami.

— Sądzę — odrzekła — że dla pana nie stanowi to różnicy, czy film wyjdzie dobrze lub nie.

— Myli się pani, zależy mi właśnie na tym bardzo, może więcej, niż się pani zdaje.

Aktorka podniosła na niego zdumione i mieniące się w jasnym słońcu kalifornijskim, bijącym przez ogromne okna, zielone jak szmaragdy oczy.

— Czyżby?

— Nie wierzy pani? A jednak tak jest.

— Ciekawam czemu?

— Gdyż w wytwórni „Blackbee-Film" zaangażowałem poważny kapitał.

Kaja nie uwierzyła. Uśmiechnęła się tylko z przymusem i przymrużywszy oczy, piła wolno swoją kawę, namyślając się nad treścią słów milionera. W pierwszej chwili nie uwierzyła wcale, aby słowa O'Conora zawierały jakąkolwiek prawdę. Po dłuższym namyśle jednak doszła do wniosku, że niemożliwe to wcale nie jest. O'Conor mógł specjalnie zaangażować się finansowo w wytwórni, aby mieć każdej chwili przystęp do niej. Zauważyła zatem:

— Czy chodziło w tym wypadku panu tylko o zarobek, czy też... ma pan jakiś inny, ukryty cel?

— Jak pani się zdaje?

— Mnie nie interesuje zasadniczo dociekanie właściwej przyczyny, ale nie zawadzi wiedzieć, jak się prawda przedstawia.

(Ciąg dalszy w nast. numerze.)

ROBERT GOFFIN

KAROLINA
CESARZOWA MEKSYKU

Z UPOWAŻNIENIA AUTORA PRZEŁOŻYŁA IRENA MACIEJEWSKA

A to nie wszystko jeszcze: hrabina Larisch, siostrzenica cesarzowej Elżbiety zawiodła pokładane w niej zaufanie, patronując schadzkom Rudolfa z Marią Vetserą, poczem wypędzona z dworu zdradziła wszystkie powierzone jej tajemnice.

Śmiertelny smutek zagnieździł się w sercach Franciszka Józefa i Elżbiety! Zresztą życie cesarza nie było również bez zarzutu, a cesarzowa miała zawsze tylko jedną troskę, by wyłamać się z rygorystycznych form protokółu dworskiego i pędzić żywot zwykłej śmiertelniczki, według nakazów serca i miłości.

Smutny upadek istot, których przeznaczeniem było narodzić się wyższymi ponad innych. Niepojęta nostalgia zatruwała ostatnie lata Elżbiety, niosące jej jedno nieszczęście za drugim, wśród których ostatnim ciosem zadanym jej przez los na krótko przed tragiczną śmiercią, była wiadomość o śmierci siostry, księżnej d'Alencon, spalonej żywcem w czasie dobroczynnego bazaru w Paryżu.

Na czele tej tragicznej listy stoi jeszcze Maksymilian i jego nieszczęśliwa małżonka. Lecz o nich zapomniano już tak dawno. Tak! Jest przecież jeszcze Karolina o której nic już nie słychać, a która, dzięki jakimś tajemnym mocom, wszystkich przeżyła w cichej wiosce flamandzkiej. Co się z nią stało przez te długie lata? Była taka ładna w swych krynolinach w Miramarze lub w pięknej amazonce na wyspie Lacroma! Musi już być bardzo stara! Wspomnienia Hofburgu biegną nagle ku temu wiecznie trwającemu widmu, który jak nieubłagany, a sprawiedliwy sędzia prześladuje Habsburgów.

Franciszek Józef, wsparty o swe biurko, głęboko duma nad tym wszystkim. Potomstwo jego wygasło, a trzeba przecież zapewnić ciągłość dynastii. Brat cesarza Karol Ludwik jest niewiele młodszy od niego, a przytem zniszczony reumatyzmem i nieodznaczający się bystrością umysłu. Franciszek Ferdynand, jego syn, nieuleczalnie chory i skazany przez lekarzy na śmierć. Palec Boży dotknął Austrię! Zabrakło dziedzica dynastii Habsburgów. Oto początek nieuchronnego końca. Franciszek Józef trawi całe godziny na daremnych rozważaniach, czyniąc w myśli przegląd wszystkich arcyksiążąt. Nie ma wyjścia! Należało by przetopić w jedną bryłę tych wszystkich możliwych kandydatów, by wytopić z niej jednego znośnego następcę tronu. Gorzkie wyrzuty budzą się w sumieniu cesarza, gdy myśli o Maksymilianie, wysłanym na stracenie do Meksyku i o jego synu, którego tak się obawiał ze względu na Rudolfa. Jakże srogo został ukarany za wszystko co uczynił. Jakie to już dalekie! Ach, gdybyż syn Maksymiliana był tu, zniknęłaby troska o dziedzictwo tronu. Franciszek Józef nie może opanować swego żalu, gdy dowiaduje się, iż nieznany bratanek wspaniale zapowiada się na przyszłość. Oto niedawno ukończył jako prymus szkołę wojenną w St. Cyr. Szef sztabu głównego armii francuskiej wspomniał o nim przed kilku dniami ambasadorowi austriackiemu w Paryżu, chwaląc go jako niezrównanego oficera.

W czasie pobytu chłopca w szkole rozeszły się pogłoski, iż jest on synem Leopolda II, gdyż suwereni Belgii otaczali go szczególną opieką. Ach, Bóg jeden wie, czy ten nieludzki postępek, który uważano za konieczny dla dobra dynastii, nie stał się nieszczęściem Austrii! Co robić? Trzeba jednak zwrócić się do Franciszka Ferdynanda. Zdrowie jego uległo znacznej poprawie i wziąwszy wszystko pod uwagę, można mieć nadzieję, iż będzie z niego świetny cesarz. Franciszek Józef dzieli się swymi troskami z poczciwą Katarzyną Schratt, czerpiąc w tym nielegalnym związku trochę otuchy.

Zachodzą jednak nieprzewidziane komplikacje. Kronprinz, Franciszek Ferdynand, zamierza poślubić jakąś nieznaną dziewczynę, jakąś czeską guwernantkę, biedną jak Hiob i nie mogącą się wykazać rodowodem wymaganym przez protokół dworski. Trzeba zwalczyć te dziwaczne zachcianki i w tym celu usuwa się wkrótce hrabiankę Chotek z domu arcyksiężnej Izabelli, gdzie była zatrudniona.

Cesarz nakazuje Franciszkowi Ferdynandowi zerwać ten związek! Niestety, krew arcyksiążąt nie może sprzeniewierzyć się sobie i następca tronu, nie bacząc na surowe sankcje, postanawia utrwalić swą miłość dozgonnym związkiem. Konflikt przybiera poważne rozmiary. Interwencja arcybiskupa wiedeńskiego spotyka się z surową naganą cesarza. Franciszek Ferdynand uparcie trwa przy zamiarze poślubienia swej kochanki. Cesarz przeciwstawia się związkowi, niezgodnemu z przepisami protokółu, lecz wreszcie ulega, pod warunkiem, iż żona następcy tronu będzie małżonką morganatyczną, pozbawioną wraz ze swym potomstwem wszelkich praw dynastycznych. Nie będzie mogła brać udziału w zebraniach rodzinnych, a o ile zostanie do nich dopuszczona będzie przychodziła jako ostatnia, po wszystkich innych arcyksiężnach. Zasady protokólarne Habsburgów są niewzruszalne, lecz Franciszek Ferdynand uważa, iż małżeństwo z hrabianką Chotek warte jest jak najdalej idących wyrzeczeń, co zostaje uprawomocnione w dniu 28 czerwca 1900 roku.

W sali tronowej Hofburgu, w której zebrał się w ponurym milczeniu cały dwór, kronprinz Franciszek Ferdynand staje dumnie przed cesarzem i głośno oświadcza: „Przyjmujemy, iż nasze małżeństwo z hrabianką Chotek nie jest związkiem dynastycznym, lecz tylko morganatycznym i winno być uważane za takie zarówno teraz jak i na przyszłość. Nasza małżonka i dzieci, których możemy sobie życzyć z tego związku, oraz ich potomstwo, nie będą mogły ani nie będą miały prawa domagać się przywilei, tytułów, herbów i względów należnych wdowom i potomkom pochodzącym z prawowitych małżeństw".

Cesarz staje się coraz starszy i smutniejszy. Następca tronu zwolna nabiera znaczenia w państwie. Kamarylla starego cesarza bezwolnie ulega wpływom niemieckim. Wilhelm, przeczuwając bliski koniec Franciszka Józefa, usiłuje pozyskać przyjaźń jego następcy i schlebia małżonce Franciszka Ferdynanda. Cesarz jest bezsilny wobec tych upokorzeń. Wybuchają spory między dworem a sztabem głównym, w których górą jest to Konrad de Haetzendorf, przyjaciel Franciszka Ferdynanda, to znów d'Aerenthak, minister spraw zagranicznych. Następca tronu występuje jako zwolennik przymierza austriacko-niemieckiego; nienawidzi Węgrów i pragnie wojny, która by pomniejszyła sąsiadów Imperium Austriackiego. Franciszek Józef, melancholijny starzec nad grobem, powstrzymuje te zapędy i hamuje wojownicze apetyty swego następcy, wie bowiem z doświadczenia jak drogo kosztowały Austrię dotychczasowe wojny. W r. 1908 Austria anektuje Bośnię i Hercogowinę, co wywołuje w Europie Centralnej ferment niezadowolenia. Franciszek Ferdynand ma jeden cel: wojnę z Serbią lub Włochami dla umocnienia potęgi cesarstwa. Z biegiem czasu Franciszek Józef, osiągnąwszy wiek 80 lat, pozostawia całkowitą swobodę swemu następcy, w r. 1912 hr. Berchtold zastępuje d'Aerenthala. Nadciąga bałkańska zawierucha, która wciągnie w swój wir Imperium Au-

striacko-Węgierskie i skruszy je w zawrotnym pędzie.

W odciętym od świata pałacu Bouchout, błądzi po wielkich salach, zapomniana przez wszystkich stara kobieta, Karolina, którą śmierć wytrwale omija; osiągnęła podeszły wiek, żyjąc wciąż wyimaginowanym życiem cesarzowej. Mimo starości dba jeszcze bardzo o swą toaletę i ukazuje się swemu otoczeniu w staromodnie wytwornych kapeluszach i sukniach, jak widmo dawno przebrzmiałej przeszłości. Przywiązuje również wielką wagę do zachowania wszelkich form. W pamięci jej nie znikły daty niektórych rocznic i w te dnie oddala się całkowicie od świata rzeczywistości, pogrążając się w wspomnieniach, bądź też przywołując głośno Maksymiliana lub czyniąc na głos wyrzuty tym, którzy ją skrzywdzili. Od czasu do czasu odczytuje się jej wiadomości ze świata. Wówczas przymyka oczy i wsłuchuje się w echo swych zmąconych uczuć.

Rokrocznie w czerwcu, gdy zakwitają rododendrony, a nenufary żółtymi pączkami złocą legendarne stawy, na dziedzińcu pałacu wznoszą tron, świta krząta się gorliwie, ogrodnicy gracują ścieżki, strzygą trawniki i ozdabiają okna polnymi kwiatami. W sercu Karoliny już od poprzedniego dnia budzi się przeczucie jakiegoś doniosłego wydarzenia i można by rzec, iż cesarzowa nawiązuje kontakt z rzeczywistym życiem, staje się spokojniejsza, uśmiecha się do swego nadwornego lekarza. W niedzielę z rana młode dziewczyny flamandzkie zasypują kwiatami, drogę wiodącą do pałacu. Naprzeciw tronu wznosi się ołtarz, ozdobiony kościelnymi kapami, złotymi naczyniami i starymi wazami, w których czerwienią się piwonie na tle zielonych palm. Od strony Grimbergen napływa muzyka, której cesarzowa, wsparta w oknie, uważnie nadsłuchuje. Z połyskujących w słońcu miedzianych trąb rozbrzmiewa fanfara flamandzkich wieśniaków, potęgująca się w miarę zbliżania orszaku. Z kościoła w Meysse nadciąga procesja. Pod baldachimem, otoczony pochodniami postępuje stary proboszcz, przed nim kroczy z powagą mały synek fermera, przebrany za Jezusa, niosącego jagnię, dalej idą członkowie bractwa, robotnicy niosący figury świętych, członkowie stowarzyszenia św. Wincentego a Paulo, młodzież szkolna i wreszcie okoliczna ludność.

Cesarzowa Karolina, wstępuje na tron, przejęta poczuciem swego cesarskiego majestatu, uśmiecha się do przyglądających się jej ciekawie ludzi, przysłuchuje się łacińskim śpiewom i przez cały czas trwania nabożeństwa zachowuje wyraz ekstatycznego dostojeństwa. Oniemiała ze szczęścia, przeżywa podniosłe chwile, w których, zda się, na nowo dopełnia się jej przeznaczenie. Wreszcie zstępuje z tronu majestatycznym krokiem, unosząc gestem władczyni, nieistniejący tren sukni.

Procesja odchodzi. Wśród dźwięków fanfary, rozbrzmiewającej w lesie, zamiera echo rytmicznych kroków i pobożnych pieśni. W alei parku, zasypanej więdnącymi kwiatami samotna cesarzowa powraca do swego tajemniczego królestwa duchów.

„Te Deum" odśpiewane przez prymasa Meksyku, La Bastidę, dźwięczało wspaniale, Indianie o śnieżno białych zębach uśmiechali się do bożka Quetzacoatla; ukwiecione gondole ślizgały się po stawie pchane uderzeniami pagai, tysiące kolibrów rozkwitało w zielonej gęstwinie. Trzeba zaprosić na śniadanie premiera ministrów i generała Miramona. Rozentuzjazmowana delegacja pasterzy z Oaxaca odeszła wiwatując na cześć cesarzowej... Trzeba ustawić stół w wielkim hallu pałacowym, tam gdzie odbywały się za czasów wicekrólów zabawy indyjskich zawodników. Jak się nazywają te piękne piwonie indyjskie? Dlaczego nie było Marii Józefiny żony marszałka Bazaine'a, która paliła tak wonne cygara? Gdzież są piękne kreolki, defilujące w szczelnie zamkniętych powozach, by ochronić swą olśniewająco białą skórę przed palącymi promieniami słońca. Osiodłajcie mego wierzchowca, bym mogła w meksykańskiej amazonce pogalopować za cesarzem. Tam w górze, obok kaplicy, jest polanka, skąd tak dobrze widać Meksyk z jego ulicami, klasztorami i cichymi parkami. Niech chór dziewic indyjskich śpiewa kantyczki, których słuchał na wygnaniu Cortez; moje cesarstwo z chmur i czarów tropikalnych pływa jak korek po morzu historii. Zbliżają się czasy Mesjasza i jasnowłosy bóg, przybyły z zachodu wyrwie ostatnią stronnicę dynastii. Czerwiec 1914, czerwiec 1866 roku: Meksyk, Bouchout, Chapultepec, ołtarz Bożego Ciała w parku! Procesja obszyta złotym galonem, haftowana wiosną, ukwiecona niebem jest teraz u podnóża szczytu Popocatepetl.

Ludność, wróciwszy z kościoła rozmawia w swych domkach o nieszczęśliwej cesarzowej, której tragicznej postaci nie może zapomnieć. W oddali szumi Bruksela. Ciemne chmury pokrywają niebo, zwisając złowrogo nad horyzontem Europy.

W Serajewie oczekują oficjalnej wizyty następcy tronu austriackiego. Stronnicza arystokracja zorganizowała uroczyste powitanie. Jakąż radością otaczają serca hrabianki Chotek i jej męża te jadowite dymy kadzidlane, które były im dotąd wzbronione przez formalistyczny protokół dworski.

Franciszek Ferdynand w jakimś porywie niebezpiecznej brawury, postawił odbyć tę urzędową wizytę po zakończeniu wielkich manewrów. Królewska para przejeżdża otwartym powozem przez ulice miasta. Wszyscy urzędnicy państwowi zostali zmobilizowani dla zainscenizowania radosnego powitania na trasie przejazdu. Tłum zachowuje jednak niewzruszoną obojętność i chłód. Nieliczne flagi dekorują domy. W duszy Franciszka Ferdynanda budzi się niepokój. Eskorta następcy tronu czuje się niepewnie wobec podejrzanych ruchów groźnego tłumu. Bośniacy śmieją się na głos z tej nieudanej uroczystości. Studenci przeraźliwie gwiżdżą. Policja gwałtownie reaguje, co wywołuje głośne protesty w nieznanym dla Kronprinza języku, powiększając jego niepokój. Rozlega się nagle odgłos wystrzału rewolwerowego. Tłum rozpada się jak dojrzały owoc. Następca tronu wydaje jakieś polecenia dowódcy eskorty. Orszak wkracza w niebezpieczną strefę. Było by przezorniej zmienić trasę, by zmylić trop anarchistom i zbrodniarzom. Franciszek Ferdynand zlodowaciałą dłonią ściska rękę swej morganatycznej małżonki, hrabianki Chotek. Oboje drżą, nie przestając machinalnie oddawać ukłonów. Ach, wszak zawsze można obawiać się zamachu, a okrutny los nie szczędzi Habsburgów: Maksymilian, Rudolf, Elżbieta! Na rogu ulicy orszak chwilę się waha, poczem skręca na prawo. Dowódca eskorty robi jakieś znaki. Za późno! Studenci wykrzykują na głos swą zawziętą nienawiść do cesarstwa. Za późno!

Arcyksiążę Franciszek Ferdynand, następca tronu imperium Austriacko-Węgierskiego i jego małżonka, dumna hrabianka Chotek, zostali zamordowani. Nieszczęśliwy książę w chwili agonii ma już tylko jedno życzenie: pragnie, aby zwłoki jego zostały pochowane obok ukochanej żony. To jest ostatnie życzenie, testament tego, który miał dzierżyć największą władzę w państwie austriackim. To czego protokół dworski nie przyznał hrabiance Chotek za życia, przyznała jej śmierć. Nakazem ostatnich słów zamordowanego arcyksięcia musi zstąpić wraz ze swym małżonkiem do krypty w kościele Kapucynów, przełamując przyrzeczenie złożone w Hofburgu przez następcę tronu w 1900 roku.

Gdy stary cesarz dowiaduje się o okropnej katastrofie, ciężko wzdycha i przymknąwszy oczy szepcze: „Siła wyższa przywróciła moc protokółu, którego ja nie miałem możności utrzymać". Poczem

(Ciąg dalszy na str. 893).

KRAINA SZCZEROŚCI I NASZYCH TROSK

ŻOŁNIERSKA DOLA

Pełen życia i nadziei we zwycięstwo wśród
W zakończenie bied... [zawiei,
Ufny w Polski świętą sprawę — dziarsko, jak-
Młody żołnierz szedł. [by na zabawę
Jakże tu nie bronić Lwowa? Nawet słabsza
Iść na krwawy znój... [płeć gotowa
Byle hajdamackie plemię opuściło naszą ziemię
Kto żyw — pójdzie w bój!
Schylił nisko białe czoło, zgiął kolano i wesoło:
— Żegnaj matuś! — rzekł. —
Pomódl się za swego syna, niech bój mężnie
A chociażby legł, [rozpoczyna,
To pamiętaj, matuś droga, że spotkamy się u
I że moja krew, [Boga
Wsiąknie w Polski ziemie żyzne i odrodzi nam
Bohaterstwa siew! — [Ojczyznę
Zapłakała matka siwa, a on już się z kolan
I odwraca się, [zrywa
Bo dziewczyna, cud — kochanie, czeka też na
Kryjąc żalu łzę. [pożegnanie,
Drgnęło serce żołnierzyka, ostrym bólem go
Ale wnet się zmógł: [przenika,
— Luba ma, dochowaj słowa, tylko nie płacz
Niech cię strzeże Bóg! [i bądź zdrowa!
Siadł na koń, popędził żwawo i znikł skryty
Dziewczę tonie w łzach... [za kurzawą.
Modli się gorąco matka, ufna w Bogu do
Widzi syna w snach... [ostatka,
A on walczy. Ani słowa! Dzielnie broni swego
Patrzy w niego świat... [Lwowa,
Wokół słychać wrzaski, jęki... nagle! z hajda-
Młody żołnierz padł!... [mackiej ręki
W drogiej Polski wielkiej sprawie, cicho legnął
Jakby spocząć chciał... [na murawie,
Płyną zwolna krwi korale a z dala — powie-
Niosą bitwy szał! [trza fale
Legnął, lecz choć jeszcze żyje, kochające serce
Coraz wolniej, lżej... [bije
I pośród odgłosów bitwy, słyszy cichy szept
Matuleńki swej... [modlitwy
Leży żołnierz w krwi koralu, żegna życie pełen
Pada w śmierci sen... [żalu,
Nagle... jakaś postać biała z poza sinej mgły
I podąża hen... [wyjrzała
Jakaś jasna... jakaś mocna! Czy to sen, czy
Zbliża się jak duch, [mara nocna?
Krzepiąc siły bohatera, bo choć czuje że umiera
Tężý wzrok i słuch.
Klękła... i od jej spojrzenia, krew się w maku
Jakby w wizji snu... [kwiat przemienia,
A głos słodki, jak eolska harfa brzmi: „Ja
Cicho szepce mu. [jestem Polska!"
„Śpij młodziutki bohaterze, dałeś życie swe w
Nie rachując strat... [ofierze,
Ja... o każdym pomnę synu, co nie cofnął się
I w mej sprawie padł..." [od czynu
I coś jeszcze mówi, jeszcze... Żołnierz czuje
Postać ginie w mgle... [śmierci dreszcze,
„Jezu ratuj!" jęknął z cicha... Hen... drży
Obie modlą się... [matka, dziewczę wzdycha,
Cicho, cicho... Śmiercią szczytną skończył życie...
Ścieląc miękki grób... [Maki kwitną,
Skonał z wiarą apostolską, że dopomógł przy-
Dźwignąć z ciężkich prób. [szłość polską

Jagienka spod Lublina.

DOBRE RADY PANI ZOFII

JEŻELI...

„Uśmiech szatana". Z niesłychaną przyjemnością przeczytałam list Pani, bo czyż mogły by mi nie sprawić przyjemności takie n. p. słowa:

„Idę swoją drogą i unikam tych, dla których jest ona niezrozumiała — idę do celu. A celem moim jest czynienie w życiu jak najwięcej dobrego, rozjaśnianie smutnych lic, okazywanie uczucia smutnym i cierpiącym.

Kiedyś budowało się szklane gmachy marzeń, goniło miraże złud szczęścia, wierzyło się w baśnie o ideałach — dziś pozostała tylko rzeczywista prawda życia. A jest nią przekonanie, iż ciernista jest dola człowieka, ale bezcenna jest jego dusza!"

Zaiste dobrze Ty rozumujesz, Kochana, i dobre jest Twoje serce. Nie popsuły jego dobroci złe dole i twarde ciosy losu — pozostało nadal jasne, czujące i tkliwe. I za to Cię kocham.

Obie Twoje nowele sklasyfikowałam do druku, a wierszyki oddałam Wujkowi do teczki. Jeżeli reszta Twoich utworów jest równie dobrze napisana, to ma zapewnione miejsce na drukowanie w naszym piśmie. Przysyłaj mi je kolejno do przeczytania.

Czy pozwalasz zamieścić swoją fotografię? Pozdrawiam Cię serdecznie i życzę natchnienia w dalszej pracy.

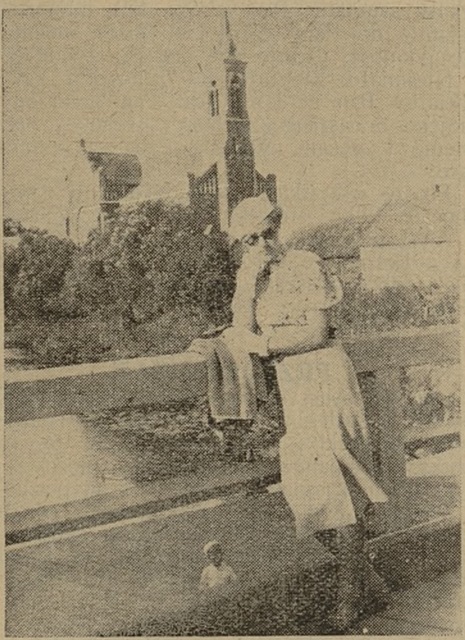
A teraz komunikaty:

„Kochana Zawierucho", — podobał mi się Twój humor i werwa, czuję, że zrozumiemy się, razem przyjęto nas do „Rodzinki", chętnie zapoznam się z Tobą. Odezwij się a odpowiem sążnistym listem.

„Pell"! Bardzo romantycznie przedstawia się Pan, zarówno na samotnym spacerze, jak i goniąc z wichrem w zawody. Zazdroszczę tej wyprawy, lubię włóczęgę. Chętnie bym zamieniła z panem kilka słów korespondencji.

„Uran". Interesuje mię Pan — było by mi przyjemnie porozmawiać na temat poezji, gdyż piszę wiele. Sądzę, że listy dałyby nam obopólne zadowolenie i o ile nie przerażam pana — proszę o list na ręce pani Zosi.

Kochanej „Krainie" — szczery uścisk i zgrabny ukłon".



„Samotna Limba" inaczej niż zwykle wygląda w ogromnych okularach, założonych dla ochrony oczu przed ostrymi promieniami słońca.

SERCA CI ZJEDNA NA ZAWSZE!

„Przeklęta Iwa". Nic Ci nie piszę, Dziecino, a tylko zamieszczam ten wyjątek z Twego listu. On najlepiej trafi do serc „Krainiaków" i zjedna Ci je na zawsze!

„Oderwany listek z „Przeklętej Iwy". Urodziłam się na Wołyniu śród gęstego lasu. U kołyski mojej, wiszącej u pułapu świegotały oswojone jaskółki. A potem to się wszystko zgubiło w zawierusze krwawej i ujrzałam siebie wśród bezkresnych stepów, gdzie błękitniało na horyzoncie wiele kurhanów — a potem jeszcze opuściłam stepy i słuchałam bełkotu fal Czarnego Morza.

I znów Wołyń! Tym razem weszłam w zlep kamieni i cegieł, pociętych ulicami, gdzie duszy mej było tak ciasno, chociaż tam rosła i czerpała soki na dalszą życiową drogę... A teraz wróciła „Iwa" do lasu i rośnie na szczycie Kamiennej Góry i chwyta gałązkami drżącą osikę i tuli się do lip, lecz wiatr ją odpycha, schyla ku dołowi i odziera liście.

Jeden taki listek zarzucił kędyś na biurko zapracowanej Pani Zosi — istocie o szczerozłotym sercu. Jakże smutno „Iwie", ogarnia ją ogromna tęsknota i wdziera się w jej zdrewniałe serce, które szuka promyka z dalekiego nieba. Bo „Iwa Przeklęta" wszystkie bóle i nieszczęścia zna, a brak jej słoneczka. Dla biednych tym słońcem jest praca na kawał razowego chleba.

Usłyszała „Iwa", jak powietrzem płynie — wieść dziwna — o radosnej „Krainie", więc chociaż samotna i przeklęta — wierzy sił ostatkiem, że nie będzie odepchnięta".

TYM, CO WRÓCILI DO NAS

Załamane ręce, zapłakane oczy, wpatrzone w dal siną...
Dnie pełne tęsknoty, noce, które zda się nie miną
Tak się ciągną, nabrzmiałe raz ciszą głuchą,
To znów krzyczące salwą karabinów suchą.
Terkoczące, jazgotliwe, przerywane jękiem
Padających rannych ciał, męką konania, dźwiękiem
Świszczących kul, rozsypanych, niby brzęczące osy
Długie były ich cierpienia, długi czas czekania,
Lecz ponieważ był czyn — nie było narzekania,
Była łączność zwarta i tych tam i tu...
Zebrał się legion bohaterskich stu
Tysięcy, gotowych iść, dać własną krew
I życie, spieszyć na potężny zew
Tęskniących do Ojczyzny, braci Ślązaków.

Aż zaświtała radosna niedziela...
Z woli ludu śląskiego,
Z Polskim Korpusem Zaolzańskim,
Z marszem wojska polskiego,
Wraz z srebrnym ptactwem niebiańskim,
Naszej Floty Powietrznej, kochanej
Nadleciała wieść, że już mamy
Śląsk zwrócony, że już nas nie rozdziela
Graniczna rzeka Olza, modra, stara.
Padły słupy graniczne!!! a teraz wara
Wszystkim wrogom polskich dzieci...
Do blasku potęgi naszej, która świeci
Po wszystkie kręgi Europy i za granicami,
Bo wzięliśmy własną mocą i sami
To, co do nas od wieków należy,
To, co wrócić musiało do naszych pieleszy!

Lila Brach.

ZAŁATWIŁAM

„Mała Konwalijka". Załatwiłam Ci sprawę administracyjną — otrzymałaś w tej materii pocztówkę. Co do mnie, to nie orientuję się dostatecznie w sprawach administracyjnych, bo to absolutnie nie mój dział.

Cieszy mnie natomiast to, że dobrze spędziłaś swój urlop i że spotkanie z „Czarnym Hajduczkiem" dało Ci tyle radości!

Pozdrawiam Cię i życzę zadowolenia w dalszej pracy!

Komunikaty:

„Czarny Hajduczku"! Cudnie było z Tobą w Gnieźnie — jestem tak bardzo wzruszona! Całuję mocno!

„Blanko"! Jesteś bardzo miłą dziewczynką. List napiszę.

„Maruto" — dziękuję za fotosy. Stasiek ładny bobas!

„Biała Uajali" — oferty przekazałam do Kręptowa".

NIE ZAPOMNIJ

„Maryś z maleńkiego dworku". Patrzę w tej chwili na list Pani, zapisany równym, prostym pismem i tak rozważam, czego jeszcze mogę się dowiedzieć o Pani, poza tym, co zawarte jest w treści samego listu. Spostrzegam nieco roztargnienia, lecz z drugiej strony również zamiłowanie piękna. To mi wystarcza. Roztargnienie, w przeciwieństwie do poczucia piękna, jest taką drobną wadą wszystkich młodych kobiet. Nie mam też o to pretensji. Zastrzegam sobie tylko, by ten „zmysł" roztargnienia nie wpłynął na Twój stosunek do naszej „Rodzinki". Nie zapomnij o nas.

Przedstawiam Wam oto, „Krainiacy" nową siostrzyczkę. Pamiętajcie o niej. Dla informacji podaję, że jest ona po maturze, zajmuje się

muzyką no i... czeka na nawiązanie łączności.
„Specjalne pozdrowienia przesyła „Jagódce Leśnej", „Brzyduli", „Fredowi", „Te - Emo-wi" i „Alchemikowi".

CZEKA NA ODZEW

„Veuve 25". Przyjmuję Panią do „Rodzinki" z życzeniem, aby ona Pani przyniosła dużo radości i zadowolenia.

Nowa nasza sympatyczka należy do pań po dwudziestce, urodziwych, sympatycznych i b. towarzyskich. Prosi, aby „Krainiacy" zechcieli umilić jej samotność listami. Dziś pierwsza rzuca im słowa życzliwości i czeka na odzew!

Pozdrawiam Panią miłym uśmiechem i życzę przyjemności w korespondowaniu z naszymi sympatykami!

HALO!

„Halo! „Ismail"! Ktoś daleki, nieznany, lecz bardzo życzliwy, prosi Cię o list! Bliższe dane i... wyjaśnienie, prześlę Panu w listownej odpowiedzi. Adres mój w red. M. P.

Łączę wyrazy niekłamanej sympatii.

ODWDZIĘCZAM SIĘ

„Duży Dzieciak spod lasu". Nie jestem wprawdzie identyczną z p. Zofią z „Mojej Przyjaciółki", ale jeżeli mimo to zapewniasz mnie o swej sympatii, to cóż innego mi pozostaje, jak odwdzięczyć się w ten sam sposób, czego wyrazem niech będzie w pierwszym rzędzie zaliczenie Cię w poczet naszej „Rodzinki". Spodziewam się, że będziesz się w naszym gronie dobrze czuła i na razie pozdrawiam Cię serdecznie!

Podaję zarazem Twoje komunikaty:

„Pana Adama Czekalskiego serdecznie pozdrawiam i ślę słoneczny uśmiech. Takie śliczne wierszyki Pan pisze. Można prosić choć o jedno słówko, w następnym wierszyku?

„Kazimierzu Junoszycu", skąd jesteś, serdeczne pa... ślę.

„Wa - Su" ślę Ci całuska Kochana.

„Smutna i brzydka Irka" jest śliczna i bardzo kochana. Pozdrawiam Cię.

Wszystkich Krainianek i Krainiaków serdecznie pozdrawiam i czekam.

Panią, Pani Zosieńko, mocno całuję i Wujka Janusza też.

TAJEMNICĘ ZACHOWUJĘ!

„Cisieńka". Cieszy mnie, że nawiązałaś już kontakt bezpośredni z „Rodzinką" i spodziewam się zarazem, że nie przerwiesz go. Tajemnicę Twoją zachowuję w sekrecie, jednak zaznaczam, że sąd o jakiejś rzeczy wydaje się wtenczas najbardziej obiektywny, gdy się daną rzecz obejrzy, nie polegając wyłącznie na zdaniu innych osób. Domyślasz się chyba, o co mi chodzi. A więc? Czekam!

Bardzo dziękuję za milutkie zdjęcie. Czy się ukaże na łamach „Krainy", przekonasz się sama.

Pozdrawiam Cię serdecznie i przechodzę do komunikatów:

„Jagódko Leśna" nie długo napiszę Ci długi długi list bo bardzo lubię pisać długie listy. Tymczasem całuję Cię serdecznie i pozdrawiam.

„Wiośniany Uśmiechu" i „Czarze Młodości" czekam na listy.

Miłe pozdrawiam wszystkie „Krainianki" i „Krainiaków" i polecam się łaskawej pamięci.

WZRUSZYŁA MNIE TROSKLIWOŚĆ

„Steńka K. z R." Wybacz mi, że dopiero teraz zdołałam na Twój przemiły list odpisać, ale wierz mi, panuje u mnie taki nawał pracy, że prawie każdy list musi się „odleżeć".

Bardzo mnie cieszy, że zdołałaś z pomocą boską jakoś przebrnąć przez wszelkie choroby i że ponadto nie zapomniałaś o nas. Z tą większą radością witam Cię na nowo w naszym gronie, a chociaż zmieniłaś pseudonim na bardziej tajemniczy, nic to z pewnością Ci nie zaszkodzi.

Wzruszyła mnie do głębi Twa troskliwość o moją osobę. Serdecznie Ci za to dziękuję, a już szczególnie ujął mnie ten Twój dziwny sen...

Mieszkasz tak niedaleko od nas, że naprawdę mogłabyś się kiedyś zjawić w naszej redakcji.

Ściskam Cię serdecznie i podaję komunikaty:

„Wszystkim „Krainiakom" ślę miłe pozdrowienie i wesoły uśmiech.

„Biała Różyczko" zdaje mi się, że się znamy; z opisu przypuszczam, że się już gdzieś widziałyśmy? Może napiszesz do mnie?

„Henry", dlaczego tak uporczywie milczysz. Zainteresował mnie „Przybłęda Leśny", może napisze do mnie?



„Samotny Chorzów I." przesyła całej „Krainice" miłe pozdrowienia.

UJĘŁO MNIE

„Bieżna Psyche". Ujęłaś mnie z miejsca swym umiłowaniem muzyki. Prawda to stara jak świat, że człowiek, który kocha piękno (a czyż muzyka nim nie jest?), jest człowiekiem dobrym i ze wszech miar zasługującym na głęboką sympatię. Ujęło mnie również to, że potrafiłaś swe umiłowanie sztuki postawić wyżej od miłości człowieka. Z otwartymi ramionami przyjmuję Cię do naszego grona i życzę, aby Ci z nami było dobrze.

Czekam na dalsze wiadomości od Ciebie i na razie pozdrawiam serdecznie.

„Przede wszystkim proszę wszystkich p. Kaziów o napisanie do „Biednej Psyche" (zauważyłam, że jest ich bardzo dużo.) Zasyłam Im wszystkim moc serdecznych uśmiechów i oświadczam, że imię to nadzwyczaj mi się podoba.

„Smutna i brzydka Irko", czuję do Ciebie wielką sympatię. Pisz z taką dozą humoru, jak ostatnio do Pani Zofii. List Twój szalenie mi się podobał. Całuję Cię chociaż z oddali.

Nieśmiało zapytuję K. Junoszyca czy zechciałby Pan napisać? Jest Pan stworzony na mojego braciszka! Zasyłam „specjalne" pozdrowienia i czekam. Wiersze Pana są zdumiewające!

Proszę wszystkich „Krainiaków" o napisanie chociaż kilku słówek; odpowiedź murowana.

Ach! jeszcze zapomniałam prosić „Kresowiaka z Leszna" o skrobnięcie do „Biednej Psyche", która mieszka niedaleko, bo w pobliskim Bojanowie. Proszę napisać, może się znamy! Pa!

PRZEDSTAWIAM

„Lidia". Ależ bardzo chętnie spełniam Twą prośbę i zaliczam Cię w poczet naszej licznej „Rodzinki", tym bardziej, że to, czego szukasz, a mianowicie odrobiny jasności w szarym życiu, znajdziesz wśród nas na pewno.

Uwaga, „Krainiacy"! Przedstawiam oto Wam nieśmiałą, łagodnego usposobienia istotkę, która chce być naszą przybraną siostrą. Uważam, że zwróceniem na nią uwagi aprobujecie jej prośbę i nie pozostawicie jej apelu bez odpowiedzi.

„Alchemiku". Nie jestem może na tyle piękna i inteligentna, jak sobie tego życzysz. A szkoda! Bądź mniej wymagającym, a napiszę do Ciebie! Na razie pozdrawiam Ciebie i całą „Krainę"!

MOŻESZ LICZYĆ

„Maleńka Zio". Gdy otworzyłam Twój miły i zarazem szczery liścik, uderzyło mnie na wstępie określenie „Maleńka" zawarte w Twoim pseudonimie. Poczułam się w tej chwili w roli matki i przez to właśnie możesz liczyć na moją najlepszą opiekę.

Rodzinko Kochana, oto przedstawiam Wam nową Krainiankę, ubóstwiającą wszystko co piękne, a niezepsutą jeszcze życiem. Zaopiekujcie się nią tak jak ja to zamierzam uczynić, i nie zróbcie jej zawodu. Dla scharakteryzowania „Maleńkiej Zio" podaję taki szczegół, że jest ona zgrabną blondyneczką i mieszka na Śląsku.

WSPANIAŁOMYŚLNIE WYBACZAM

„Janek ze Śląska". Po przeczytaniu listu P. powiedziałam sobie, że będę w tym wypadku wspaniałomyślna i wielkodusznie wybaczam początkową Pana podejrzliwość, której zresztą w tym samym liście już się wyrzekłeś! Ale precz z powagą! Kochani „Krainiacy", przyjmijcie do siebie tego oto młodzieńca, który twierdzi, nie bez racji zresztą, że praca społeczna i sport nie mogą mu życia wypełnić. Szuka on wśród Was właśnie tej reszty, której mu na wsi brakuje.

Serdecznie Pana witam w naszym gronie i czekam na rezultaty.

SZUKAMY DOBREJ PRZYJAŹNI

„Elka" i „Melka". Miły Wasz liścik sprawił mi niecodzienną przyjemność i z tego też powodu przyjmuję Was, moje Kochane z otwartymi ramionami do naszej „Krainy", życząc zarazem, byście się w niej dobrze czuły.

Piszecie w swym liście w ten sposób:

„Jest nas dwie — młodsza brunetka, starsza blondynka, obydwie z średnim wykształceniem. Chcemy się rzucić w wir korespondencji z miłymi i inteligentnymi Czytelnikami „M. Powieści" z całej Polski. Wielbimy wszystko co piękne i szlachetne, cenimy przyjaźń i serdeczność, lubimy humor — pragniemy szczerej i radosnej wymiany myśli na wszystkie tematy".

„Startujemy pod hasłem: „Szukamy dobrej przyjaźni.

„Pozdrowienia dla wszystkich „Krainiaków", osobne „Przybłędzie Leśnemu" — może się znamy, gdyż tegoroczne wakacje spędziłyśmy także w Worochcie.

Halo! „Fred" i „Eros" czy nie zechcielibyście napisać kilka słów do wesołych bydgoszczanek?

Odpowiedź „żelazo - betonowa", każdemu kto do nas napisze.

OBY LOS BYŁ ŁASKAWY

„Li Sokolica". Bardzo mnie list Twój ucieszył, gdyż zawierał tak dobrą wiadomość, a z drugiej strony zapowiedź obszerniejszego listu napawa mnie nadzieją, że dowiem się czegoś więcej o dalszych Twych losach. W każdym razie, gdyby przed Bożym Narodzeniem oczekiwany list od Ciebie nie nadszedł, to wiedz, że w tej tak przełomowej dla Twego życia chwili towarzyszą Ci również moje najserdeczniejsze życzenia. Oby los okazał się łaskawym dla Ciebie, a ze swej strony wyrażam nadzieję, że i w przyszłości będziesz o nas pamiętać.

A teraz komunikaty:

„Bronko", czy wiesz już kim jestem? Ślę Tobie nasze sokole „Czołem" i proszę, pisz do mnie.

„Blanko", gdym Cię spotkała w Gnieźnie, obiecałaś, że mnie kiedyś odwiedzisz. Czy doczekam się Twego przyjazdu? Pogwarzylibyśmy o dawnych dobrych czasach. Przyjedź! Serdecznie Cię pozdrawiam.

„Jaś — Sokół" Czołem druhu! Tu okręg gnieźnieński. O jakim zlocie druh myśli? Życzę pomyślności w pracy, na niwie sokolej.

„Samotny - Chorzów I." Cieszy mnie, że i Pan jest sokołem. Jaka szkoda, że zlot w Lwowie został odwołany. Nie pozostaje nam nic innego, tylko czekać cierpliwie na następny zlot. Ślę Panu miłe pozdrowienia.

ROZUMIEM

„Śpiąca Królewna". „Jestem sama, brak mi jakiegokolwiek towarzystwa, mieszkam w pobliżu Grodna. Która z „Krainianek" lub „Krainiaków" zechce choć jeden promyk słońca wnieść w moje szare i ciche życie obecne, to proszę napisać do mnie".

Spodziewam się, że tego rodzaju apel nie pozostanie bez echa. Rozumiem, co znaczy życie bez ludzi, z którymi byłaby możliwa jakaś wymiana myśli. Życie na wsi ma swój specyficzny urok, lecz nigdy nie zastąpi bez reszty jakiejś istoty ludzkiej, przed którą można by wypowiedzieć to, co nas cieszy czy smuci.

„Królewiczu z bajki", zechciej napisać kilka słów do „Śpiącej Królewny"!

Wszystkim z „Krainy" ślę serdeczne pozdrowienia.

RAD BĘDĘ UDZIELAŁA

„Ina". Stosownie do listu „wtłoczyłam" Twoją osóbkę do „Krainy" i teraz tylko od Ciebie, kochana moja, będzie zależało, czy będziesz nadal z nami żyła. Otulasz się wobec nas w płaszcz tajemnicy, chcąc właśnie tym atutem podbić nasze serca. Zgoda! Lecz jednak pozwalam sobie uchylić rąbka tej zasłony i zdradzić, że jesteś jeszcze bardzo młodą osóbką, która dużo potrzebuje i rad, i pogody ducha. Z jednego i drugiego, jak to zresztą jest moim zwyczajem, będę Ci udzielała. A więc na razie ściskam Cię serdecznie i czekam na dalsze wiadomości o Tobie.

Podaję równocześnie Twoje komunikaty:

„Niezapominajko III. i Nell z Bydgoszczy"! Przesyłam Wam moc pozdrowień. Chciałabym z Wami korespondować, gdyż zależy mi bardzo na znajomości w B. Jeśli przychylnie odniesiecie się do mej prośby, dajcie znać. Przyrzekam, że korespondencja ze mną nie przyniesie rozczarowania.

„Wesoła Maruszko". Dziwną sympatię do Pani czuję. Czy wolno napisać?

„Blanko" pozdrowienia i uściski. Znam P.!

„Młody Orle". Czy był Pan 3. 7. 38 r. w Os. L.? Jeśli tak, znam Pana.

Wszystkim „Krainiakom", którzy w dniu 3. 7. 38 r. byli w Os. L. zasyłam pozdrowienia i uściski".

Aha, jeszcze jedno. Adresów żadnych z zasady nie podaję. Jeżeli zamierzasz do kogoś napisać, to prześlij list w zamkniętej kopercie do moich rąk, a ja już doręczę pod właściwym adresem.

„CZUWAJ!"

„Jutrzenka". No, chyba teraz, kiedy już Cię przyjęłam do „Krainy", nie będziesz z zazdrością patrzeć na naszę współżycie. Bardzo mnie ucieszyło, że jesteś harcerką i dlatego też Twoje gromkie „Czuwaj", rzucone wszystkim „Krainiakom" — harcerzom, z pewnością znajdzie odzew. Dla ich informacji podaję również, że mieszkasz daleko na wschodnich rubieżach Polski i to, przypuszczam, szczególnie zaintryguje swoją egzotyką wszystkich tych przemiłych włóczęgów, co to w czas wakacji uważają, że nie przystoi im siedzieć w domu, a tylko wyruszają w szeroki świat.

Nasza sympatyczna nowa, a bardzo jeszcze młoda towarzyszka, przesyła wszystkim harcerzom, a w szczególności „Nince — harcerce" pozdrowienie „Czuwaj"!

ZROBIŁAM SWOJE

„Maruszka znad Olzy". Ja zrobiłam swoje, to znaczy na początek spełniłam życzenie i przyjęłam Cię oto do „Krainy". A teraz musisz wykazać odrobinę samodzielności i inicjatywy i tak się urządzić, by się wśród nas dobrze czuć. A do tego potrzebne są tylko dobre chęci. A więc?

Pozdrawiam serdecznie i zamieszczam komunikaty.

„Zasyłam moc serdecznych pozdrowień dla „Krainiaczek". Może która zdecyduje się napisać do mnie?

„Wołyniaku" — może skomunikujemy się. Tu Poznańskie, mam ochotę dowiedzieć się, czegoś o życiu Wołynia!

„Fred" — oczekujący chłopczyku, upodobania mamy równe, więc może korespondencja przyniosłaby nam zadowolenie. Napisz do mnie, odpowiedź murowana.

„Jesienny Wichrze" — ktoś ty? Zaciekawiasz mnie".

SPIESZĘ DONIEŚĆ

„Wrzos". Tak się już szczęśliwie składa, że w bieżącym numerze ukazała się na łamach „Krainy" cała moc nowych pseudonimów. Sprawia mi to niewymowną radość, gdyż świadczy o coraz większym kręgu osób zainteresowanych, które czują konieczność pewnej wzajemnej wymiany myśli.

Między innymi również i Pani spieszę donieść o przyjęciu Jej do naszego grona. Może właśnie fakt, że zamieszkuje Pani w Wilnie wzbudzi szczególne zainteresowanie mojej drogiej braci „Krainiackiej". Spodziewam się, że Pani apel nie pozostanie bez odpowiedzi.

Pozdrawiam Panią serdecznie i proszę o dłuższy list.

„Samotny Agronom" — przesyłam Panu moc uśmiechów, czy naprawdę Pan jest taki „samotny"?

„Kazimierz Junoszyc" — proszę przyjąć szczere słowa uznania za wiersz pod tytułem: „Czy tak?" Wspaniały wiersz, jestem nim zachwycona.

Moc pozdrowień całej „Krainie" i życzenia p. Wujkowi Januszowi, oraz osobne pozdrowienia dla p. Adama Czekalskiego? Może ktoś z „Krainianek" lub „Krainiaków" do mnie coś napisze, odpowiedź murowana. Czekam!

CZEKAM

„Miluś II." Mój Kochany, o ile zdołałam się zorientować, to już te zapowiedziane 4 tygodnie urlopu minęły, a Ty milczysz uparcie. Przecież chyba mogę spodziewać się znaku życia od Ciebie w postaci dłuższego listu. Pocztówek nie uznaję. Można przy ich pomocy donieść mi najwyżej o zmianie adresu, o sprawach administracyjnych, ale nigdy nie będę ich uważała za podtrzymanie kontaktu.

A więc czekam i na razie pozdrawiam serdecznie.

PROŚBA DO „KRAINIANEK"

„Słoneczna Jasieńka". Z całego serca dziękuję Ci za te modlitwy za nas wszystkich, i mogę Cię zapewnić, że tak jak one nam pomogą, tak i Ty na pewno odczujesz u siebie ich skutki.

Zamieszczam zarazem Twoją prośbę, licząc na dobry jej wynik.

„Która z młodych „Krainianek" uważa, że wierna przyjaciółka, to skarb bezcenny, a która jej nie ma, niech napisze do mnie przez Panią Zofię lub da odpowiedź w „Krainie". Chcę bowiem, jeżeli nie będzie można inaczej to chociaż drogą korespondencji mieć szczerze oddaną przyjaciółkę na całe życie bez względu na to, jakie ono będzie, smutne czy radosne. Jeżeli przyszłej mojej przyjaciółce będzie zależało nie tylko na wiernym, kochającym sercu ale i na wyglądzie zewnętrznym to mam wrażenie, że się nie zawiedzie.

P. Mieczysław Grzegorski! Zachwycona jestem Pana wierszami.

P. Józef Baranowski. Utwór Pana: „Legenda Tatr" jest piękny.

Całej „Krainie" nie wyłączając Pani Zosteńki i Wujka Janusza przesyłam tysiące promiennych uśmiechów i serdeczne pozdrowienia".

TECZKA wuja Janusza

NIE PÓJDZIE DO DRUKU

O. K. — L. Wierszyki Pani — jeden i drugi bez tytułu — nie pójdą do druku, gdyż nie mają dość zwartej konstrukcji myślowej. Proszę przysłać mi inne, a na pewno znajdzie się w nich kilka dobrych. Na razie wydrukuję tylko ten o chłopczyku i mrozie.

Przesyłam życzliwy uśmiech!

ZA SŁABY!

„Czarna Rysia". Wierszyk Twój pod tyt.: „Pierwszy śnieg" miły, ale treściowo, jeżeli zaś chodzi o formę, to niestety bardzo, bardzo jest słaby.

Pochłonął go mój redakcyjny kosz.

Pozdrawiam Cię i proszę nie gniewaj się za szczere wydanie oceny!

PRZEKONAJCIE SIĘ!

„M". Jak można płodzić takie dziwolągi pseudo wierszowane, jak strofa, którą przytaczam poniżej?! Toż to serce się człowiekowi skarży żółcią, najbardziej gorzką, a rozum szydliwie wytyka palcem talent moich adeptów poezji, gdy moje oczy zmuszone są odczytywać takie bohomazy!!!



Oto mamy przed sobą jedną z czytelniczek „Moich Powieści" w stroju łowickim. Pani L. B. z Łaguszew — pozdrawia nas serdecznie.

Przekonajcie się sami:

„Ty pod lasem
Ja nad rzeką
Do niej ciągle łzy me cieką"... (sic!)

Chroń mnie losie od podobnych łez,
a jeszcze więcej od twórców tych
ciekliwych wierszy"!

Z Ciebie już moja teczka nigdy nie będzie miała pociechy, o nie!

Pozdrawiam Cię i zapewniam, że na terenie niedotyczącym poezji mogę być Ci bratem nawet, ale nie w krytyce Twych utworów!

CHCIAŁABYM...

Chciałabym, byś rączki wyciągnęła do mnie
I byś spojrzała na mnie przytomnie.
Byś mnie rączkami objęła za szyję,
Ja cię ubiorę, uczeszę, umyję.
Chciałabym paciorka ciebie nauczyć,
Chciałabym opiekę nad tobą poruczyć
Matuchnie Bożej — a biali anieli,
Niech nad łóżeczkiem śpiewają weseli.
Chcę ci, o dziecię, raj stworzyć na ziemi,
Ty mnie przytulisz rączkami małymi
Do serduszka swego, czystego, małego —
Bardzo gorącego, a tak niewinnego.

Marta Domagałowa.

POETA

„Pani Dadzie — poświęcam".

Gdzieś na poddaszu, w ciemnej izdebce
Mieszka mężczyzna. Na twarzy jest blady...
Całymi dniami coś pisząc wciąż szepce,
Jak gdyby nie mógł dać z czymś sobie rady.
To jest poeta, on wciąż wiersze pisze,
Ażeby za nie zjeść liche śniadanie.
On nie wie jeszcze, co się z nimi stanie,
Jaką odpowiedź w redakcji usłyszy.
Jeśli powiedzą: „złe" — na nic ta praca,
Smutno do domu będzie wtedy wracał,
A gdy powiedzą: „dobry" — wtedy, Boże!
Zje nieco strawy, pierwszy raz dziś może.
A potem wróci znowu na poddasze
Siądzie na krześle, przy szarym stoliku
I będzie pisał, choć pot czoło zrosi
I będzie pisał znów wierszy bez liku.

Te-Em.

ŚLAD

W smutne wieczory wypatruję Ciebie,
I tak mi za Tobą... po prostu — straszno
Me oczy błądzą po zamarłym niebie
Na którym już ostatnie gwiazdy gasną.

I co noc szukam wśród tysiącznych śladów,
Błądząc zastygłymi z zimna rękami
Czy nie napotkam gdzie Twojego śladu,
Za moją chatynką, lub pode drzwiami.

Bo wiedz... że śladu nic zetrzeć nie zdoła,
Pełne serce Ciebie zawsze i wszędzie
Choć znaleźć go nie mogę nigdzie dokoła
Wiem... że jest cudno — biały, jak łabędzie.

I natrafiłam na ślad. Twój, jedyny!
Był jasny jeszcze, a świeży jak ranek,
Tuliłam długo jak główkę dzieciny,
Twój najdroższy ślad, pośród kołysanek...

„Maleńka Dzidzi".

NIE DO DRUKU!

Wu S. A. Wierszyk zaczynający się od słów:

Nie płacz, gdy ktoś ci drogi
Nie dał ci wszystkich sił....

Więc wierszyk ten stanowczo nie nadaje się do druku. Nie dostaje tam rytm i rym, a to wszak w poezji jest ważne. Drugi też słaby.

Pozdrawiam serdecznie!

WIATR JESIENNY...

Z cyklu: „Życie poety".

Nadeszła północ. Miasto w mroku tonie,
Nad światem księżyc „króluje" promienny —
Patrzę w dal, wsparłszy o okno swe dłonie,
A lekkim chłodem ścina moje skronie
Wiatr jesienny...

Wspominam młodość, przeszłość — to mnie wzrusza,
Świat jest dziś jakiś dziwny i odmienny...
Żalem i smutkiem napełnia się dusza,
A oczy moje z zimnych łez osusza
Wiatr jesienny...

I znów samotny długo długo piszę,
Tematem jest mi wir życia codzienny...
Czasem szum lekki przerwie nocną ciszę,
Gdy za mym oknem drzewem zakołysze
Wiatr jesienny...

Mieczysław Grzegorski.

Dwadzieścia lat istnienia
mocarstwowej Polski

W złotej księdze dziejów Polski odwraca się znowu jedna karta, karta wyróżniająca się z innych, bo ukazująca się tylko raz na dziesięć lat. Już dwadzieścia lat mija od chwili, gdy rozpoczęła się twarda praca wykuwania w granicie wieczności rzeczywistości Polski Odrodzonej.

Przed dziesięciu laty, z okazji dziesięciolecia istnienia wolnej i niepodległej Polski ukazała się olbrzymia księga, ukazująca w telegraficznym skrócie artykułów, statystyk i ilustracyj dziesięcioletni dorobek młodego państwa. Gdyby księgę taką wydać dzisiaj, to objętość jej byłaby na pewno trzy razy większa. Bo też dorobek nasz narodowy rośnie po prostu z dnia na dzień. Nie mówiąc już o sukcesach naszej gospodarki wewnętrznej, trudno nie stwierdzić z dumą, że nasza pozycja międzynarodowa stanęła na takim punkcie, że zadowolić musi największego nawet malkontenta.

Zbudowanie trwałego gmachu naszej państwowości zostało dokonane nadludzkim wysiłkiem. Dzieło zamierzone wykonaliśmy, w porównaniu do innych mocarstw, w rekordowym czasie. Wykazaliśmy, że potrafimy nie tylko zaimponować, lecz również być wzorem dla innych państw o kilkuwiekowej tradycji. Oglądanie się na przeszłość, na zmagania ojców naszych z nienawistnym wrogiem, nie może dla nas obecnie stanowić tematu do rozpamiętywań. Te fakty mogą być dla nas tylko odskocznią dla osiągnięcia jeszcze większych sukcesów.

Dzień 11 listopada 1918 roku, który dla wielu narodów był zakończeniem zmagań wojennych i walk o zmartwychwstanie — dla Polski był dopiero początkiem ostatecznej rozgrywki o byt niepodległy. I gdy inne państwa, należące do dawnej „koalicji", jak Francja, Anglia i Włochy, obchodzą w dniu 11 listopada święto zakończenia wojny, „Święto Pokoju" — Polska obchodzi ten dzień, jako swoje „Święto Niepodległość".

Aby pojąć należycie znaczenie dnia 11 listopada 1918 roku w dziejach Rzeczypospolitej należy objąć myślą ostatni okres walk niepodległościowych, poczynając od powstania 1863 roku. Na czele walki wyzwoleńczej w dobie popowstaniowej stał Józef Piłsudski, który długimi latami pracy podziemnej, więzieniem, katorgą, w później krwawym trudem swego oręża przygotował dla Polski dzień 11 listopada.

Gdy w czasie wojny światowej po wspaniałych zwycięstwach legionowych, które rozsławiły imię oręża polskiego, nadszedł okres niepewności i zawodów — Józef Piłsudski był tym, który pierwszy wypowiedział walkę nieubłaganą ostatniemu zaborowi, niemiecko-austriackiej okupacji wojennej. Niemcy uwięzili wówczas Piłsudskiego w twierdzy magdeburskiej, bohaterskich legionistów internowali w obozach, a członkami organizacyj niepodległościowych zapełnili więzienia i twierdze. Nie zdołano jednak wytropić wszystkich, którzy trwali na swych posterunkach i dalej prowadzili dzieło wyzwolenia Ojczyzny.

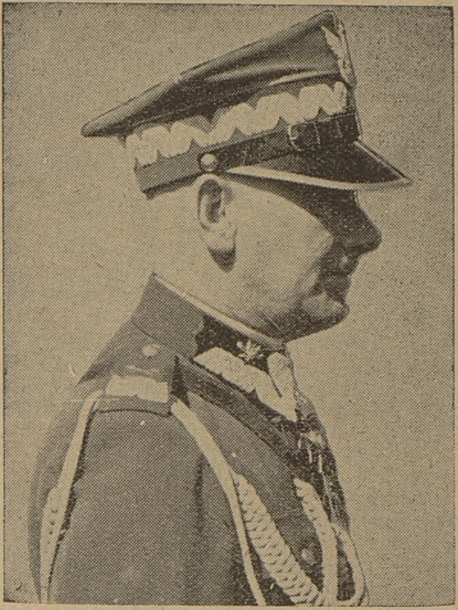
Nadszedł pamiętny listopad 1918 roku.

W dniu 10 listopada Józef Piłsudski, uwolniony przez rewolucję niemiecką, powrócił do Polski i wśród nieopisanego entuzjazmu stanął na czele narodu. Powrót Wodza był hasłem do podjęcia walki z wrogiem. Walkę rozpoczęła stolica, za jej przykładem poszła prowincja i wkrótce wszystkie miasta, miasteczka i wsie były terenem rozprawy z ostatnimi zaborcami.

W dniu 12 listopada Józef Piłsudski wydał pierwszy swój rozkaz do wojska. Czytamy w nim m. in.:

„Żołnierze! Obejmuję nad Wami komendę w chwili, gdy serce w każdym Polaku bije silniej i żywiej, gdy dzieci naszej ziemi ujrzały święto swobody w całym jej blasku. Z Wami razem przeżywam wzruszenie tej godziny dziejowej, z Wami razem ślubuję krew i życie swoje poświęcić na rzecz dobra Ojczyzny i szczęścia jej obywateli..."

W dwa dni później Józef Piłsudski objął władzę zwierzchnią nad narodem, powołał rząd i zajął się organizacją wojska, skarbu i urzędów. Trzeba było żelaznej woli i wysiłków nadludzkich, aby, dzierżąc władzę w tych dniach przełomowych, uchronić odradzające się państwo od burzy wewnętrznej, jaka szalała w dwóch sąsiednich państwach: w Niemczech i Rosji. Wszak nie posiadaliśmy jeszcze wówczas nic. Urzędy, koleje, wojsko i administracja, wymagały nowej zupełnie organizacji. Toteż pierwszy rząd odrodzonej Rzeczypospolitej z Jędrzejem Moraczewskim na czele miał zadanie ponad siły ciężkie i odpowiedzialne; ale obecność Wodza i powszechny zapał narodu pomnażały jego energię.



Naczelny Wódz — Marszałek Śmigły Rydz.

W odezwie pierwszego rządu Polski czytamy: „Odradzająca się w chwilach przełomu dziejowego Polska musi dotrzymać kroku w ogólnym pochodzie wyzwolonych ludów do szczęścia, opartego na nowych, głęboko demokratycznych podstawach. Po stu pięćdziesięciu niemal latach niewoli Polska powraca do rodziny niezależnych narodów. Chcemy, aby zajęła w niej miejsce, godne jej wielkiej przeszłości dziejowej i siły liczebnej jej ludu. Dołóżmy usilnych starań, aby oczyszczenie kraju naszego z pozostałości tyloletniego jarzma szło najszybciej i najpomyślniej i aby znikły ślady rozbicia Polski na dzielnice..."

Dwadzieścia lat mija od tych dni pamiętnych.

Kiedy Polska niepodległa i zjednoczona przestała być legendą Józef Piłsudski przystąpił do realizowania ideału Polski mocarstwowej, Polski silnej jednością wewnętrzną, Polski takiej, którą by w najwyższym poważaniu mieli zarówno sojusznicy, jak wrogowie.

I Polska stała się mocarstwem w pełnym tego słowa znaczeniu. Odniosła świetne zwycięstwo w wojnie z Rosją, obroniła dwa grody kresowe: Lwów i Wilno, wyzwoliła prastary Śląsk, utrwaliła swój pobyt niepodległy i ustaliła granice, zajmując poczesne stanowisko w rodzinie narodów świata.

Mamy więc Polskę niewodległą, wolną, zjednoczoną, silną. Osiągnęliśmy to, co było marzeniem kilku pokoleń, co było celem pracy podziemnej i krwawych zmagań w ciągu stu czterdziestu sześci lat niewoli.

Ale nie wolno nam spocząć ani na chwilę, nie wolno ani na chwilę ustawać w pracy. Dotychczas trwaliśmy w świadomości, że On, Józef Piłsudski, rycerz niezłomny, za nas myśli i za nas pracuje. Że On stoi na straży Rzeczypospolitej, jej praw i jej honoru. Że On wielki chorąży dzierży przed światem nasz sztandar i że na Jego ponad miarę strudzonych ramionach spoczywa cały olbrzymi ciężar odpowiedzialności za losy Ojczyzny naszej.

On — Pierwszy Marszałek Polski i jej syn najwierniejszy, był dla nas synonimem wyrazu „Ojczyzna" w najwyższym pojęciu tego słowa.

Teraz — gdy Go zabrakło między nami — my wszyscy w równej mierze jesteśmy odpowiedzialni za nasze losy Rzeczypospolitej.

Dzisiaj, w dwudziestą rocznicę odzyskania niepodległości — musimy w sercach naszych wznieść wielki gmach miłości i zrozumienia tych prawd, w imię których Józef Piłsudski walczył i pracował całe życie. My wszyscy, Jemu współcześni, musimy uważać się za spadkobierców idei Marszałka i wykonawców Jego testamentu.

W imię przyszłości Polski mocarstwowej musimy jednoczyć się, starać się przekreślić — wszystko, co nas dzieli, a podkreślić wszystko, co nas łączy, skupiając się w zgodzie i w jedności do pracy w imię najwyższego prawa: dobra Rzeczypospolitej.



Armia Narodowa — Chluba Odrodzonej Polski.

kreśli znak krzyża i wspiera zmęczoną skroń na ramieniu Katarzyny Schratt.

Zwłoki pary monarszej powracają uroczyście do Wiednia. W obliczu śmierci ludzie wybaczają wszelkie przewinienia; nie ma już hrabianki Chotek, jest tylko nieszczęśliwa następczyni tronu, którą należy opłakiwać i oddać jej należne honory.

Niestety, szef protokółu dworskiego, okrutny potomek Montenuovy, stojący na straży etykiety dynastycznej, czuwa u wejścia do podziemi i mimo wszystko następczyni tronu, nieszczęśliwa hrabianka Chotek, musi odejść gdzieindziej, jak zabłąkana dusza. Cień następczyni tronu wlecze za sobą jeszcze po śmierci piętno niższego pochodzenia. By zasiąść na tronie i zstąpić do krypty Kapucynów, trzeba mieć rodowód, odpowiadający rytualnym przepisom.

Łuna pożaru wykwita na horyzoncie Europy. Franciszek Józef w przeczuciu bliskiego końca, schyla bezsilnie głowę, stojąc na krawędzi przepastnej otchłani. Wszyscy pragną wojny, jedynie minister węgierski Tisza przewiduje katastrofę.

Cesarz Franciszek Józef ma już za sobą 64 lata panowania. Wsparty o odrzwia swego balkonu, melancholijne pali cygaro, patrząc na falujące sztandary w żałobnym orszaku swego bratanka. Kilka zwiędłych kwiatów ściele się na ulicach stolicy Austrii, nad którą wschodzi krwawy świt. Kilka zwiędłych kwiatów ściele się jeszcze po przejściu procesji w alejach mgławicowego cesarstwa meksykańskiego.

„Gdy wielki Jehowa niszczycielską dłonią wstrząsa światem, staje się nieubłagany jak straszliwy huragan.“

XXI.

Wojna! Mobilizacja we wszystkich krajach; powołani do armii udają się do swych punktów zbornych; niezliczone pociągi toczą się w mrokach nocy; oddziały wojska koncentrują się na granicach, wypełniają luki, żywym ciałem zasilają przetrzebione szeregi. Jedno, jedyne słowo podporządkowało wszystkich groźnej potędze: monarchiści, demokraci, internacjonaliści, socjaliści stoją ramię przy ramieniu. Ideał narodowościowy odzyskuje swe prawa. Nie ma już w Europie ludzi, należących do odrębnych warstw społecznych, kierowanych biegunowo różnymi interesami; walka klas, która zdawała się być wybawieniem ludzkości, ustała wobec ogólnej grozy. Można by nawet powiedzieć, iż socjaliści mając sobie dużo do wyrzucenia, starają się dać swym państwom poważne rekompensaty.

Odwieczne instynkty narodowościowe podsycają płomień krwawej pożogi, odwieczna walka popędów nacjonalistycznych przyczyni się do zguby imperium austriacko-węgierskiego. Włochy nie wstąpiły w krąg taneczny u boku swych sprzymierzeńców. Anglia stanęła po stronie Francji. Prognostyki dyplomatyczne wiedeńskich polityków okazały się fałszywe. Przygnębiony cesarz jest chory i beznadziejnie smutny. Gdy szef sztabu głównego armii austriackiej składa mu przed odjazdem na front pożegnalną wizytę, wielki starzec, ogarnięty złymi przeczuciami mówi: „Jeśli monarchia musi upaść, niechże przynajmniej uczyni to z godnością.“

Groźna ofensywa rosyjska na Lwów, podczas gdy Niemcy postępują pod Paryż, przynosi straszliwe rozczarowanie Dworowi Wiedeńskiemu. Wkrótce sztab austriacko-węgierskiej armii musi się poddać całkowicie zwierzchniej władzy niemieckiej i walczyć pod jej rozkazami. Franciszek Józef jest tak zgnębiony, iż ukrywa się w Schönbrunnie, nie chce się nikomu ukazywać.

Stary cesarz pociesza się myślą o następcy tronu. W czasie swego długiego panowania zniszczył już kilku: Maksymiliana, Rudolfa, Franciszka, Ferdynanda! Teraz jednak sprawa przedstawia się lepiej. Bóg dozwolił, by pragnienia dynastyczne cesarza dopełniły się. Kronprinz Karol i jego małżonka, arcyksiężna Zyta, przypadli do serca monarchy. 60 lat panowania! To za wiele dla jednego człowieka. Wąskie, przezroczyste prawie dłonie, zmęczyły się już podpisywaniem państwowych papierów od godziny czwartej rano. Przez czas jego rządów Francja zmieniła kilka reżimów. Belgia miała trzech królów; Franciszek Józef smutnie duma o tragicznym przeznaczeniu, które tak bezlitośnie zniszczyło jego dynastię. Teraz ma oddać berło w ręce swego bratanka. Co on z nim uczyni? Arcyksiężna Zyta, uważana przez środowisko wiedeńskie za cudzoziemkę, nie jest zbyt lubiana. A syn Maksymiliana zdobył już stopień pułkownika w armii francuskiej. Mówią, iż niezwykły z niego strategik. Takiego człowieka potrzebuje armia austriacko-węgierska. Arcyksiążę Fryderyk, któremu powierzono naczelne dowództwo, jest tylko marionetką od parady, podlegającą decyzjom sztabów. By utrzymać monarchię należało by mieć następcę tronu o uzdolnieniach genialnego generała. Niestety! Krew Habsburgów nie została zasilona ani przez Wittelsbachów, ani przez liczne związki arcyksiążąt i arcyksiężniczek. Trzeba się z tym pogodzić!

Italia, nie dotrzymując swych zobowiązań, przystąpiła do przymierza Francji i Anglii. Cesarz władczo obwieszcza, iż Rzym dopuścił się bezprzykładnej w historii zdrady wobec dwóch państw, z którymi był związany sojuszem. Franciszek Józef zdaje sobie sprawę, iż teraz wojna jest już przegrana. Całe pułki czeskie przechodzą na stronę nieprzyjaciela. Zdrady i niesłychane odszczepieństwa podkopują militarny prestiż imperium austriacko-węgierskiego. Poszczególne prowincje, opanowane własnym ideałem nacjonalistycznym, spoglądają na zewnątrz i z myślą o przyszłości pertraktują z mandatariuszami zwycięzców.

Belgia jest już od dawna okupowana. Fala niemiecka przewaliła się przez Walonię i Flandrię. Louvain i Dinant zostały spalone. Wilhelm II., który zdobędzie sobie w historii miano króla Wandalów, nakazuje rozstrzeliwać bezbronną ludność cywilną. Katedra w Reims płonie jak pochodnia. Lokalne sztaby pułkowe rekwirują pałace. Oddziały wojskowe usiłują wedrzeć się do pałacu w Bouchout. U wylotu kasztanowych alei rozlegają się dźwięki niemieckich marszów. Grzmią armaty, słychać turkot artylerii, przeciągającej brzegiem stawu w stronę Flandrii. Cesarzowa Karolina przysłuchuje się w milczeniu odgłosom wojny. Wie dobrze, iż coś nienormalnego dzieje się poza granicami jej Meksyku, lecz pielęgnuje pieczołowicie swój złudny sen, nie przestaje spacerować po alejach parku.

Od czasu do czasu podnosi z ziemi kamienie i ważąc je w dłoni, dotyka nimi gałęzi leszczyny. Jest już starą kobietą, którą nic nie łączy ze światem. Niekiedy, pochylając się nad bielejącymi na wodach stawu nenufarami podnosi głowę i patrzy bez zdziwienia ku wschodniej stronie. Widma ministrów i duchy Meksyku potrzymują w niej niewygasły płomień złudy. Gdy odczytują jej wiadomości z gazet, słucha w milczeniu, nie odzywając się ani jednym słowem.

Niepojęte gusła wypełniają jej istnienie i kierują życiem. Kamienie, gałęzie drzew, a każdego miesiąca, przez cały czas swego pobytu w Bouchout, staje w skupieniu na brzegu stawu i wchodzi do łodzi, jakby w zamiarze jakiegoś tajemniczego odjazdu. Królowa Maria Henryka już dawno umarła. Leopold II. odszedł w wieczność w 1909 roku, nie widując swej siostry przez przeszło trzydzieści lat.

Wielki ochmistrz dworu w Bouchout musiał długo pertraktować z niemieckim generałem, by uszanowano spokój cesarzowej Karoliny. Żołnierze niemieccy krążą wokół ogrodzenia i przypatrują się ze zdziwieniem tej miejscowości belgijskiej, do której mają wzbroniony wstęp. (C. d. n.)

LUCYNA ROKOMYSKA

4)

Biały Płomień

W słoneczny dzień las był niby wielka, pełna świętej ciszy świątynia, strojna w nawy z kolumn pachnących żywicą, rozświetlona tu i tam, jak kościół witrażem, jasnym, w bajeczne kolory malowanym, drzewem.

— Jakiż piękny jest świat — myślała Luta. — I jak mi dobrze żyć teraz na nim. — Za królestwa świata całego nie oddałabym tego, co w własnym sercu czuję!

— Bo widzę, że szczęście mieszka tylko w nas samych. — Andrzej nie przyjeżdża już drugi miesiąc — pisał raz jeden dopiero — a ja nie trwożę się, nie przypuszczam nic złego. — Wierzę mu. I czekałabym tak, nie wiem jak długo, tej jednej radosnej chwili na przeciąg długich, samotnych dni bez niego...

Ręce Luty odrywające delikatnie jabłka z niższych gałęzi jabłoni, zawisły nieruchomo w powietrzu.

— Andreo, kocham cię... — powiedziały prawie głośno usta.

— Luto! Uważaj! Spuszczam koszyk! Odbierz! — komenderowała siedząca na drzewie Pita. — Luta ocknęła się. Zgasł wyraz rozmarzenia w oczach. Odebrała spuszczony na sznurze kosz z jabłkami i rewanżowała się Picie również głosem komendy:

— Już! Zaraz uwiążę ci drugi! — Tak! W górę go!

Po czym drobne ręce podniosły się znów ku jabłoni — a myśl znów zaczęła krążyć koło najdroższej w świecie głowy.

ROZDZIAŁ XIV.

Zima.

Drogą od stacji pędzą małe, konne sanki. W saniach, do wysokiego mężczyzny w futrze i barankowej czapce na głowie — przytulona drobna postać kobieca.

Mężczyzna w tej chwili pochyla się i podnosi wysoko głowę popielaty, futrzany kołnierz przy płaszczu siedzącej przy nim kobiety.

Śliczne, ciemne oczy dziękują spojrzeniem...

— Pocoś szła, Luteńko? — Taki mróz dzisiaj — mówi Andrzej z wyrzutem.

— Nawet jednej maleńkiej chwili z tobą — szkoda mi utracić. Jesteś tu drugi raz dopiero od cudnych dni na Podhalu... — głos Luty zadrżał lekką wymówką.

— Tak. — Mam pracy dużo. Teraz za to — nie odjadę zaraz. — Zostanę parę dni z tobą... carissima...

Głowa w barankowej czapce schyliła się nad twarzyczką ginącą w kołnierzu z popielatego futra. — Usta spadły na usta drapieżnie... z dziką mocą...

— — — — — — — —

Kilka dni obłąkanych miłością... i białą drogą z czarnymi cieniami topól po obu bokach, suną znowu sanki — tym razem — w przeciwną stronę.

Oczy mężczyzny — dalekie już są... — Kobieta szczęśliwym, rozmarzonym wzrokiem całuje białe pola...

Chrzęst zmarzniętego śniegu łączy się harmonijnie z graniem dzwonków w uprzęży końskiej.

Za chwilę na peronie stacji — Luta walczy z nieprzepartą chęcią przytulenia się choć na moment jeszcze do Andrzeja... Nie zrobi tego jednak, bo przecież nikt nie wie, że ten mężczyzna zwracający uwagę swoją wyniosłą postacią i rasową twarzą — to jej mąż... Podaje mu tylko obydwie ręce, które Andrzej przyciska prędko do ust.

Pociąg rusza. Niknie za zakrętem.

Od żelaznych balasków peronu odrywa się drobna postać w popielatym płaszczyku. Wychodzi na białą, zimną drogę... i idzie powoli w stronę domu.

— — — — — — — —

Tak było prawie zawsze... aż do duszy Luty zakradło się zwątpienie. — Poczęła wątpić — czy to, co Andrzej do niej czuje — można nazwać miłością? Pamięta raz, w pełnej pieszczot godzinie — rzekła:

— Andrzeju — czyż zawsze tak tylko... będziemy się bawić? Patrzyła mu prosto w oczy — czekała jakiegoś słowa. — Nie odrzekł nic. — Więc jeszcze powiedziała.

— Chciałabym być zawsze z tobą — ... mieć dzieci...

— Na co ci to? — niechętnie powiedział. — Przecież tak, jak jest — jest nam dobrze.

Zamilkła. Spuściła oczy. — Bo czyż miała mu powiedzieć, że tak, nie jest jej dobrze? Że pieszczoty dawane jej przez niego, to jednak nie wszystko? I że czasem wolałaby, aby ich miłość była więcej z ducha? — Nie, nie powie mu nic! On taki daleki tych spraw; było by to i tak bezcelowe...

— — — — — — — —

Jak paciorki na sznurek nizał się dzień za dniem.

Barwny z początku sznur dni — szarzał. Andrzej miał coraz mniej czasu dla Luty. Pracował dużo. Każda niemal myśl jego należała wyłącznie do muzyki i do spraw z nią związanych. Gdy przyjeżdżał — porywał żonę tak samo namiętnie w ramiona, jak w pierwszych dniach miłości, ale nie wywnętrzał się już ze swoich myśli, jak dawniej; nie opowiadał o swojej ukochanej muzyce. — Mówił — gdy pytała. — Nigdy też nie był teraz ciekawy, co ona robi, co myśli, co czuje... Gdy próbowała mówić poważniej — patrzył na nią nierozumiejącymi oczami... Więc milkła. Zamykała się w sobie... I tylko gdzieś na dnie duszy poczynało boleć... I coraz częściej błyskała okrutna myśl, że właściwie życie jej nie ma żadnej treści... Łamała się tak w sobie — cierpiała... nie wiedział jednak o tych bolesnych myślach nikt.

Czas nizał dni... nizał...

Pięć lat prawie minęło od dnia, w którym przeznaczenie poprowadziło dziewczynę w sunki czerwonej, jak maki — na śliczną, leśną polanę.

Luta uspokoiła się, przycichła. Szarpiące myśli uleciały gdzieś z serca. Przestała bawić się w dociekania; przestała pragnąć i spodziewać się rzeczy śnionych w dziewczęcych latach. — Uczucie dla Andrzeja nie zmalało wcale, lecz spotęgowało się jeszcze. Myślała teraz zawsze o nim, z dobrym, prawie matczynym uśmiechem na ustach, że Andrzej — to właściwie duże, niezaradne dziecko, samo potrzebujące opieki, a nie, żeby jej mogło udzielić komu drugiemu...

Więc robiła sobie wyrzuty, że to ona raczej nie umiała kochać. Że zamiast — jak powinna była — dać mu wytchnienie po pracy, okazać zawsze jasną twarz, — ona... myślała o jakichś urojonych żądaniach i niejeden raz przykrym, niezadowolonym spojrzeniem patrzyła w kochane oczy.

Więc było znowu dobrze. — Uśmiech, ten radosny, słoneczny, zagościł znów na ustach Luty.

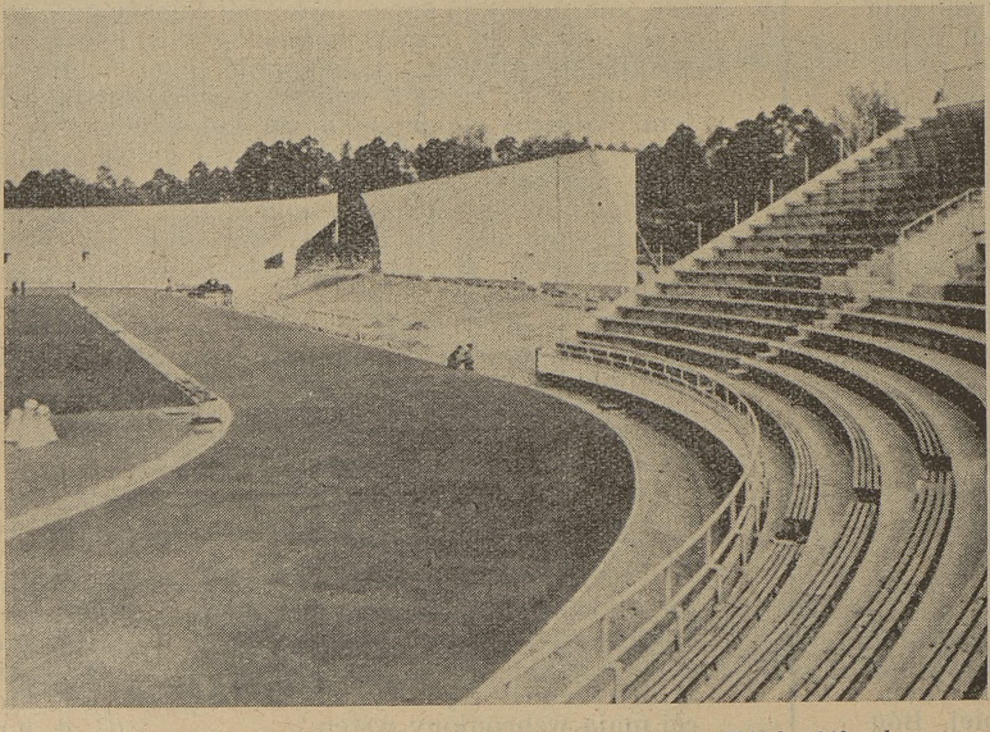
ROZDZIAŁ XV.

Teatr imienia Juliusza Słowackiego w Krakowie — jaśnieje od świateł.

Trzy sznury lóż, wbite w ogromną podkowę sali — kwiecą się toaletami pań, poprzetykanymi czernią męskich ubiorów.

Na dole, w krzesłach — też gwar.

Cenna kurtyna Siemiradzkiego już podniesiona; scenę kryją tylko fałdy ciężkiej, aksamitnej zasłony.



W Helsinkach powstaje olbrzymi stadion dla igrzysk olimpijskich 1940 roku

Ma być grany pierwszy raz w Polsce — utwór włoskiego muzyka, Andreo Velli'ego.

Piąta z brzegu loża pierwszego piętra zwraca powszechną uwagę; kilkanaście lornetek skierowanych w jej stronę. — W loży — dwie kobiety i pięciu mężczyzn. Na wysokim krzesełku w tyle, siedzi jedna z kobiet: wysoka, szczupła, z twarzą japońskiej „gejszy" — i rozmawia z czterema panami naraz — śmiejąc się wesoło i mrużąc co chwilę skośne oczy.

Piąty z mężczyzn — stojący przy samym parapecie loży, przy którym siedzi maleńka kobieta w czarnej jedwabnej sukni, naszytej złotymi dżetami — to Andreo Velli. Kobieta — to żona muzyka: Luta Velli.

Ujęta w ramy ciemno-blond włosów twarzyczka, promienieje radością i dumą. — Ciemne, ogromne oczy lśnią niby gwiazdy... Nie widzi nic i nikogo prócz tego jedynego człowieka z piękną orlą twarzą, stojącego przy niej, na którego zresztą zwracają się dzisiaj oczy wszystkich ludzi na sali.

Andreo Velli pochyla się w tej chwili ku żonie:

— Muszę już iść. Życz mi powodzenia, Luteńko...

— Życzę ci... — ciemne oczy gorące są jak płomień — życzę ci, aby wszyscy ci ludzie, którzy słuchać będą twojego koncertu — czuli to, co ja, w swoim sercu czuję!...

Głowa z odrzuconą w tył burzą czarnych, wijących się włosów, zniża się ku małej, wąskiej dłoni, leżącej na czerwonym, aksamitnym parapecie.

Z lóż patrzą zazdrośnie kobiety o twarzach dużo piękniejszych od twarzy Luty.

Po chwili na piękną salę teatru spływa mrok — rozsuwają się draperie ciężkiej zasłony — i na tle kilkudziesięciu muzyków — on, — Andrzej — już z pałeczką dyrygenta w dłoni.

Płynie muzyka...

Z początku pełne tęsknoty tony — stają się coraz gorętsze... gorętsze... aż popłyną potokiem lawy ognistej pełnym. — To znowu — zda się — widzisz, jak księżyc wybuchnąwszy zza wzgórza Carnero — maluje w srebrną łuskę cudne morze adriatyckie...

Morze senne jest... więc ledwie złowisz uchem, jak szemrze pieśń o wiecznym trwaniu... o miłości dla Stwórcy za srebrną poświatę miesiąca, i za te złote lśnienia, którymi jutro powita je słońce...

Ręce, głowa z rozwianą teraz czupryną, cała postać kompozytora, zlewa się przedziwnie z tonami płynącymi z kilkudziesięciu instrumentów muzycznych.

Gorejące oczy Luty nie odrywają się ani na chwilę od umiłowanej postaci... Czasem tylko od głowy, od rąk rozkazujących muzyce — lecą do stóp, aby objąwszy je miłosnym spojrzeniem, dziękować za tę chwilę i... za to, że to on właśnie...

Płynie muzyka...

Płynie czas w zachwyt biorący duszę...

Jeden z czterech panów — znany śpiewak krakowski, o gładko przyczesanych włosach i melancholijnych, czarnych oczach — odwraca się od podobnej do Japonki kuzynki Luty — i pochyla nad zasłuchaną głową żony Velli'ego:

— Porwało nas — i wszystkich... — prawda? Nic dziwnego zresztą; Andreo Velli, to prawdziwy artysta! W jego sercu nie ma nic — prócz miłości do sztuki...

Cisza przez chwilę... a po tym pierwszy oklask nieśmiały... jakby bojący się spłoszyć, błyszczącą jeszcze wokół tych wszystkich głów — godzinę czarów... Za nim drugi, trzeci, aż zahuczała sala grzmotem braw!!!

Czy Luta słyszała słowa wyrzeczone do niej przed chwilą?

Zdaje się — nie. Bo z cudnym uśmiechem w oczach i na ustach patrzy na te wszystkie ręce, trzepocąc się głośno w hołdzie Andrzejowi...

Śpiewak, o melancholijnym spojrzeniu pochyla się znów nad Lutą:

— Nie bije pani brawa?

Luta zwraca w jego stronę prawie przerażone oczy:

— Boże! — Zapomniałam... Już będę!!

Podnosi ręce i klaszcze... klaszcze... klaszcze...

ROZDZIAŁ XVI.

W domku skrytym w owocowym sadzie, zaszły pewne zmiany.

Pita dostała posadę biurową w Krakowie, a Basia zostawszy nauczycielką — pracowała aż na Kresach, koło niemieckiej granicy.

Pani Ciembronowiczowa mogła nareszcie odpocząć. Krzątała się więc teraz po domu — pomagając Lucie w gospodarowaniu.

Dzień za dniem schodził cicho, spokojnie — robiąc miejsce wieczorowi, który pani Ciembronowiczowa wypełniła zwykle miganiem wielkiego, kościanego szydełka — plotąc nim szal włóczkowy, czy jakąś serwetę — a Luta czytaniem matce na głos.

— W lecie — z powodu krótkiego wieczoru, a „długości" Kurierka — nie dało się nic więcej przeczytać, jak tylko tegoż — ale w długie zimowe wieczory wystarczało czasu na wszystko: na długie rozmowy, na gazetę i na czytanie książek.

Przemiłe są takie wieczory.

Za oknami czarna, przejmująca zimnem noc, a w pokoju i tak już ciepłym — przysuwa się stolik z jasno płonącą lampą do cieplejszego jeszcze pieca i usiadłszy przy nim czyta się dalszy ciąg powieści przerwanej wczoraj, prawie w najciekawszym miejscu...

Czyta się na przykład „Trylogię" Sienkiewicza po raz — nie wiem już który — odwraca się te prześlicznie pisane karty i za każdym razem zdają nam się nowe i zawsze na nowo zajmujące...

Śmiejemy się tak samo serdecznie, jak kiedyś, z rubasznych dowcipów Zagłoby — płaczemy nad pół żywym Skrzetuskim idąc wraz z nim, w ową straszną noc, przez staw zbaraski — błagać o pomoc dla wodza-bohatera i zamkniętych w oblężonym mieście junaków; pałają nam oczy dumą, gdy śledzimy jeźdźca o orlej twarzy z burką unoszącą mu się na kształt skrzydeł na ramionach, jak pędzi na czele butnego wojska do zwycięstwa...

Czar cudnych książek działa... Ale — późno już. Już dawno dziesiątą powiedział duży, rzeźbiony zegar ścienny. W okna zagląda jeszcze czarniejsza noc...

— Już prawie jedenasta godzina, Luto — mówi pani Ciembronowiczowa. Pójdźmy spać!

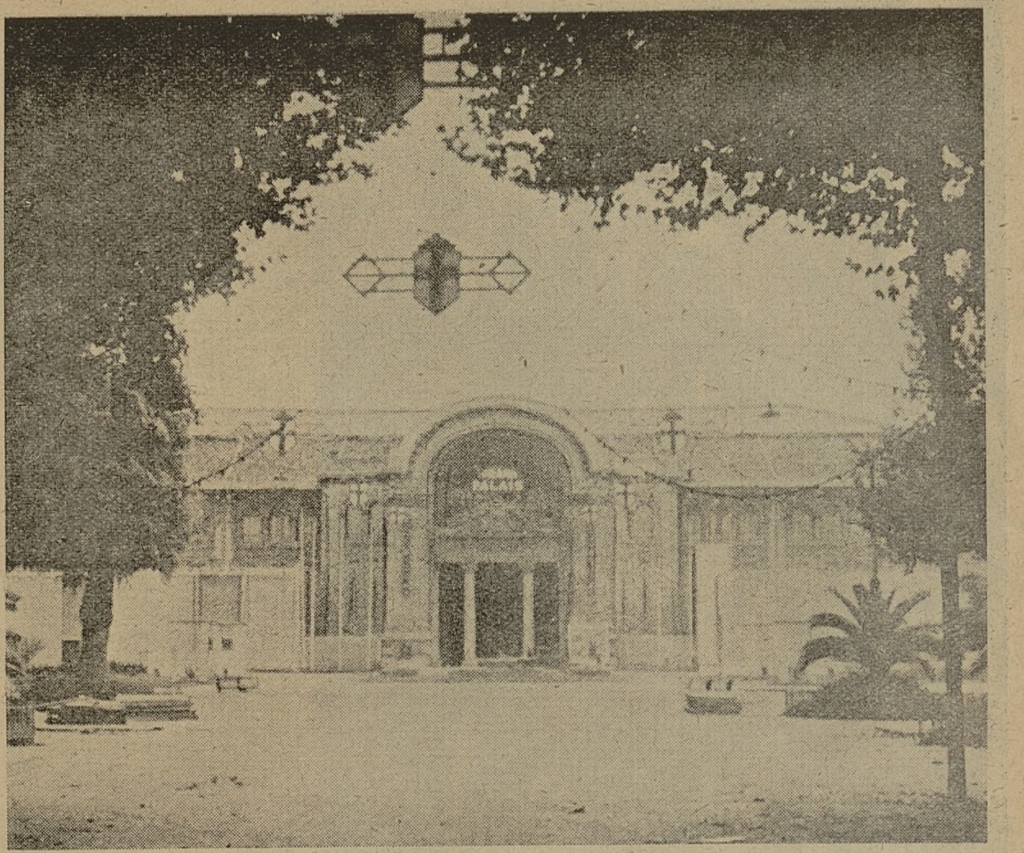
— Boże! Jak te godziny lecą... — dziwi się Luta. — Zdaje się, że dopiero zaczęłam czytać!

— — — — — — — — —

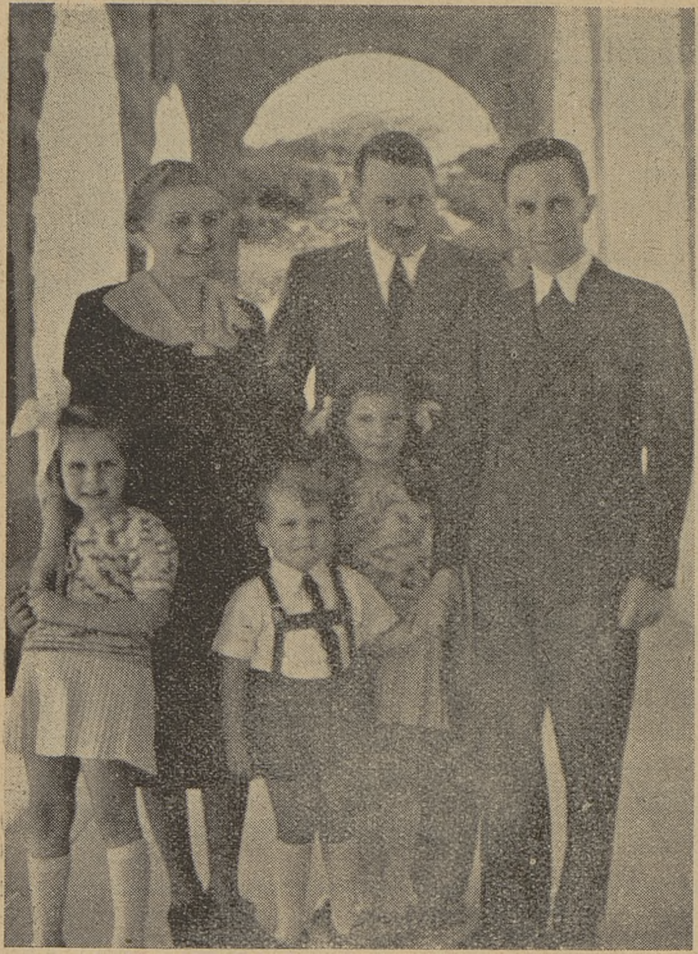
Zima odeszła.

Na ziemi zapanowała wiosna — jak zwykle pełna czaru. Przez sad biało-różowy od kwiecia jabłoni, biegnie Luta do furtki, przy której Athos zajadłym szczekaniem broni wstępu listonoszowi.

— Athos! Tu! Do nogi! — woła Luta, odciągając rozkrzyczanego wilczura. — Po-



Tegoroczny kongres radykałów odbył się w Grand Palais w Marsylii. Na zdjęciu front pałacu



Hitler gościł w miejscowości Kehlstein min. Goebbelsa z żoną i dziećmi

tem odbiera list i wraca powoli w stronę domu, prowadząc psa za obrożę. List jest od Andrzeja. Nie otworzy go jednak zaraz. — Tak miło jest czytać najpierw oczami wyobraźni...

Może dzisiaj list jest cały zapisany?.. Na wszystkie cztery strony. A nie tak, jak prawie zawsze: wiadomość, że w tych dniach przyjedzie — i pozdrowienia.

Może?...

Od biało-różowych drzew płynie gwar pszczół. W powietrzu pełno słodkiej woni... Wiatr - figlarz strąca białe, wonne płatki na umajoną świeżo ziemię...

Ręka trzymająca psa otwiera się, podnosi ku drugiej, która trzyma list zaadresowany dużym, męskim pismem.

Po chwili oczy biegną za czarnymi szeregami liter. — Twarz zdobną przepysznymi oczami — rozpromienia radość:

Andrzej pisze dziś więcej... dużo więcej! Wprawdzie niewszystkie cztery strony listu zapisane, ale zawsze więcej, niż zwykle. Są i słowa pieszczotliwe, a to już coś nadzwyczajnego, bo Andrzej w pisaniu takich słów bardzo skąpy. Pisze, że czuje się bardzo przemęczony, że muszą koniecznie wyjechać gdzieś w lecie. — Przyjedzie w tych dniach do niej — to wszystko omówią i zdecydują gdzie pojadą...

Luta przymyka oczy. — W myślach przewija się wspomnienie niezapomnianych dni na Podhalu...

Nic nie miałaby przeciwko temu, gdyby tam znów jechali... Ale to zależy także od Andrzeja... Zresztą — wszystko jedno gdzie — byle go znów co rano pocałunkami budziła i wcześniej, niż w słońce, patrzyła w oczy jego...

Zwisająca niżej od innych biało-różowa gałązka uderza ją lekko po twarzy. Luta podnosi oczy. — Bierze delikatnym, jak pieszczota, ruchem wonną gałązkę w dłonie przytulając do niej usta:

— Miłość, to szczęście — a szczęście, to miłość... — szepce do aksamitnych płatków.

ROZDZIAŁ XVII.

Jest wieczór.

Pani Ciembronowiczowa odeszła już do pokoju po drugiej stronie domu.

W sypialni pozostali Luta i Andrzej. Siedzą przy małym stoliczku nad szachami.

— Luto, dwa ruchy z twojej strony — i masz wygrane! Nie widzisz tego?

— Dwa ruchy? Nie, nie wiem jakie by to mogły być... Czekaj! Namyślę się i może coś z tego będzie... — Luta podnosi śmiejące się figlarnie oczy na męża.

— Ładnie się namyślam! — strofuje ją Andrzej. — Daj, ja zagram twoimi figurami, a ty weź moje — dobrze? W dwóch ruchach „mat" — dodaje jeszcze.

— Dobrze! — zgadza się Luta. — Ale to będzie tak: jak wygrasz moimi szachami, to będzie się nazywało, że ja wygrałam; a gdybym przypadkiem ja twoimi grając, wygrała — mimo tych dobrych dwóch ruchów, które za chwilę zrobisz, to też będzie moja wygrana — dobrze?

— Dobrze. — Ale nie wygrasz. O, patrz! jeden ruch...

— Tak, a ja zrobię taki... Szach! — Królowa zagrodziła drogę królowi — biorąc jednocześnie w niewolę groźną wieżę.

Andrzej podniósł zdumiony wzrok.

— Wspaniały ruch — Luto! — W dwóch ruchach nie dam ci już rady...

— Za to ja dam ci rady jednym ruchem... O, znów szach — z tej strony... i mat!

— Mat? Rzeczywiście... — dziwił się Andrzej patrząc niedowierzająco na szachownicę.

— Mat — w dwóch ruchach... — przypomniała z niewinną miną, Luta.

— O, ty — niedobra! — Naigrawasz się ze mnie? Poczekaj!

Andrzej porwał się z krzesła.

Luta porwała się również. Poczęli się gonić naokoło krzeseł, małego stoliczka i otomany...

— Luto, poddaj się lepiej, bo... — groził Andrzej wymykającej mu się prawie z rąk żonie.

— Bo, co? — śmiała się stojąc za otomaną z jedną nogą wysuniętą naprzód — gotowa do biegu.

— Bo cię... zacałuję na śmierć... jak tu nie przyjdziesz sama, dobrowolnie! — mówił wyciągając ręce.

Trzęsła przecząco głową, patrząc kokieteryjnie spod zmrużonych powiek.

— No, chodź maleńka...

— Nie wypada mi teraz, skoro uciekałam dotąd... Musisz mnie złapać — upierała się.

Jednym skokiem był przy niej. — Zaplotła mu ręce w szalonym uścisku na szyi...

Wróżki sprzyjające miłości, zaczęły prząść długą, pełną czaru godzinę...

— — — — — — —

— Więc szczęśliwa jesteś, Lutko?

— Tak, mamusiu. — Teraz już jestem spokojna i szczęśliwa. Moje uczucie dla Andrzeja — kontynuowała po małej przerwie — raz wznosiło mnie na promienne szczyty, drugi raz spychało w ciemną, straszną otchłań zwątpienia... Męczyłam się — i wiem, że gdyby on — Andrzej — był stale ze mną, wiele dni bym mu zatruła...

— Artysta, mamusiu — jest jak pieszczone dziecko; chce, żeby go kochano, zajmowano się nim — natomiast nie myśli prawie wcale o tym, że powinno się tyleż samo dać w zamian, ile się bierze...

— Ja z początku — mówiła dalej — mierzyłam wszystko własną miarką, — i było źle. — Teraz rozumiem już, że takiego człowieka, jak Andrzej — nie można nagiąć do moich małych spraw... I rozumiem już także, że Andrzej — to najpierw własność wszystkich, a po tym dopiero moja. — Więc nie czuję żalu, nawet nie tęsknię, gdy Andrzej długo nie przyjeżdża, bo wiem, że nowa chwila z nim, zapłaci mi hojnie za tamte, bez niego...

Umilkła, topiąc w złocie zachodu spojrzenie pełne słodyczy.

— Moim marzeniem w młodości, był własny dom i dzieci. — Nie pragniesz tego dziecko?

— Pragnęłam, mamo. — Chyba każda kobieta tego pragnie... Ale pragnęłam też, aby moje życie nie było zwykłe — i widocznie to drugie pragnienie było silniejsze — kończyła z ledwo dosłyszalnym smutkiem w głosie.

Wstała i podeszła do otwartego okna. — W sadzie mrok skradał się krok za krokiem do biało-różowych drzew; drżały lekko żałując słońca, po którym nikły tylko znak, seledynowo-złota wstążka na zachodzie — pozostał.

— Ale teraz już spokój we mnie i ogromna pewność szczęścia — podjęła znów Luta, patrząc w potęgujący się mrok za oknami. — I myślę, że nic i nikt — nie potrafiłby mi już tego odebrać! — dodała jeszcze po krótkiej przerwie.

Matka wzdrygnęła się nagle... Ona tak samo myślała właśnie wtedy, — gdy miał grom uderzyć w spokojne jej życie...

Ciąg dalszy w nast. numerze.

RAJ KOBIET

Oszczędność i moda

Mówiąc o rzeczach praktycznych nie można pominąć kwestii przeróbek. Przede wszystkim stwierdzić trzeba, że każda stara suknia doskonale nadaje się do wykrojenia z niej bluzki. Wszystkie tegoroczne rewie jednogłośnie ogłaszają renesans bluzki popołudniowej. Są to — ściśle mówiąc — staniki nie bluzki i przypominają bluzki naszych prababek ze starych spłowiałych fotografii. Każdy taki stanik pełen jest skomplikowanych zmarszczek, idących w różnych kierunkach, draperii, rękawy najczęściej kimonowe; kto nie lubi kimona, może sobie zrobić bufiaste u nasady rękawy; nie poszerzają one sylwetki, podkreślając jedynie cienkość stanu. Modna popołudniowa bluzka ma wycięcie najczęściej czworokątne, lecz o liniach fantazyjnie zakreślonych. Krój spódnicy musi być tak pomyślany, żeby harmonizował z bluzką i tworzył z nią całość. Można bluzkę rozszerzyć wstawkami z koronki, nadaje to całości wygląd stylowy i wytworny. Okrągły tiulowy karczek również mile wygląda. Gipiurowe aplikacje, stare monety, kryształowe kwiaty, perły i inne kamienie drogocenne występują również w charakterze motywów dekoracyjnych. Do bluzki można dorobić sobie z reszty materiału mufkę, przybraną kwiatami i piórami. Niekiedy mufkę robi się z tego samego materiału co kapelusz.

Paryż posiada specjalne magazyny, udzielające porad i wskazówek co do przeróbek. Panie jeżdżą tam z kuframi, pełnymi starzyzny i wracają z rysunkami nowych projektów. Obecna moda, jak żadna inna, nadaje się do przeróbek. Każdą starą suknię można z łatwością przerobić na spódniczkę z bolerkiem; jeżeli nie wystarczy na bolerko, to na kamizelkę na pewno wystarczy. Podniszczony długi rękaw zawsze można skrócić, usuwając części zniszczone. Przód i rękawki z kolorowej piki przeistoczą każdą starą sukienkę z ciemnej wełny w nową, modną. Niemodne trzyćwierciowe stare kostiumy można doskonale przerobić na modne krótkie, brzeżąc je u dołu rulonikami z futra. Wysoki mankiet z futra zamaskuje krótki, trzyćwierciowy rękaw. Wobec mody na suknie dwukolorowe, gdzie często przód i tył wykonane są z odmiennych materiałów, można pięknie przerobić sobie jakieś dwie, nienadające się już do użytku i sfatygowane sukienki na jedną wprawdzie, ale zato modną i ładną. Tu nie można przewidzieć nic, trzeba się samemu zorientować. Można łączyć wełnę z letnim wzorzystym jedwabiem, jedwab z koronką, piką, tiulem i gipiurą, w zależności od tego co się ma w domu i w czym jest do twarzy. Ale ostrożnie i bez przesady, ażeby nie uchybić dobremu smakowi.

Dwie panie G.

Do licznych trosk dyplomatycznych Trzeciej Rzeszy, dołączyła się jeszcze jedna: nierozwiązana dotąd kwestia — kto jest „pierwszą damą" Niemiec hitlerowskich. Kwestia bynajmniej nie drobnego znaczenia i sprawiająca szczególnie dużo kłopotu szefowi protokółu. Bo kandydatki do tej godności są dwie, a obie — z tytułu dostojeństwa mężów i stanowiska ich w partii rządzącej — równe posiadające prawa.

Kandydatki te, to panie Emmi Goering i Magda Goebbels.

Rywalizacja pomiędzy tymi paniami o stanowisko „pierwszej damy" weszła już w fazę bardzo ostrą. Szef protokółu, układając program bankietów oficjalnych, radzi sobie na razie w ten sposób, że rolę pierwszej damy powierza obu paniom kolejno i stąd pochodzi fakt, że gdy na jednym bankiecie przy boku kanclerza Hitlera zasiada pani Goering, to na następnym miejsce to zajmuje pani Goebbels.

Panie te milcząco zaakceptowały taki układ.

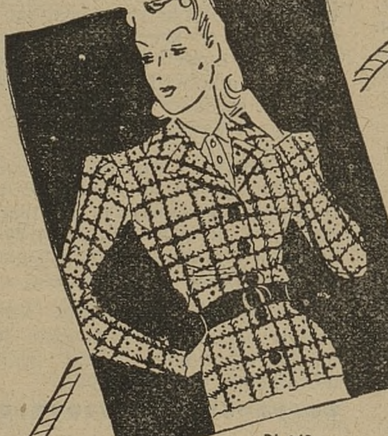
Pani Goering — znakomita artystka niemiecka, która jednak z chwilą poślubienia premiera Prus, musiała wyrzec się sceny — jest damą niezwykle wytworną i dziś wyrocznią mody kobiecej w Niemczech. Dom swój prowadzi na bardzo reprezentacyjnym poziomie, a jej „czwartki" gromadzą w salonach pp. Goering całą elitę towarzyską i artystyczną stolicy.

Przyjęcia u pp. Goebbels niemniejszym cieszą się powodzeniem. Pani Goebbels nie może jednak konkurować z panią Goering pod względem umiejętności nadawania całości wielkiego tonu.

Ale posiada za to kwalifikacje, które — biorąc pod uwagę ideologię hitleryzmu — dają



Pl. 041
96/112 cm Obw.



Pl. 043
88/100 cm Obw.



Bd. 368



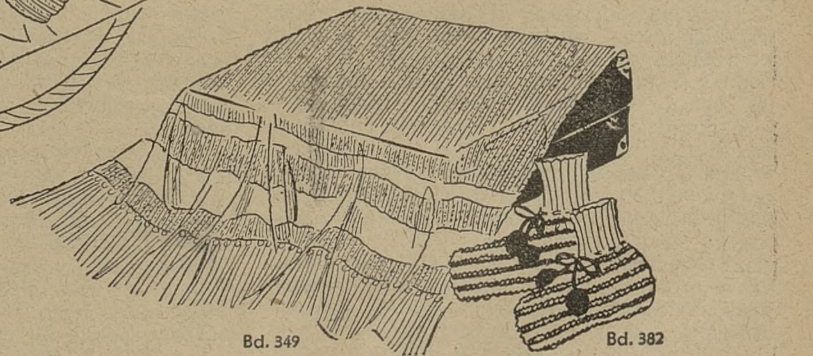
Bd. 376



Bd. 369



Bd. 370



Bd. 349

Bd. 382

Bd 376 Do spódniczki w fałdy — pulowerek z wełny, robiony szydełkiem.

Bd 370 Sweterek dla chłopczyka, robiony na drutach

Bd 369 Czapeczka i rękawiczki, wykonane na drutach z wełny granatowej i niebieskiej

Pl 043 Śliczny żakiecik w kolorze koralowym, w kratę granatową. Można go zrobić na drutach lub szydełkiem

Pl 041 Męski sweter robiony na drutach.

Bd 368 Śliczny kaftaniczek ranny z wełny różowej

Bd 349 Chustka ciepła, wykonana ręcznie.

Bd 382 Dla małego dzidziusia buciki z wełny.

jej, jako kobiecie niemieckiej, olbrzymią przewagę nad rywalką.

Pani Goebbels jest doskonałą gospodynią i matką aż czworga dzieci, czym pani Goering pochwalić się nie może nawet... w czwartej części bodaj.

W domu pp. Goebbels panuje atmosfera na wskroś rodzinna, która szczególnie pociąga kanclerza Hitlera. Jest on też częstym gościem u pp. Goebbels, gdzie pani domu respektuje jego upodobania kulinarne i gdzie może on swobodnie „podokazywać" z czwórką ich pociech.

Najstarszy synek pani Goebbels pochodzi wprawdzie z jej pierwszego małżeństwa z pewnym przemysłowcem niemieckim, został jednak adoptowany przez m.in. Goebbelsa i kochany przezeń narówni z własnymi dziećmi: synkiem i dwiema córeczkami.

Argus.

Nowe ułatwienia dla gospodyń i pań domu

Ostatnim wyrazem postępu w dziedzinie gospodarstwa domowego, poza elektrycznymi chłodniami, kuchniami tip., był do niedawna odkurzacz. Na rynku amerykańskim pojawiły się obecnie odkurzacze udoskonalone, które nie tylko wchłaniają pył, ale „piorą" dywany. Do odkurzacza starego typu wmontowano szczotkę, połączoną z basenem, umieszczonym na odkurzaczu. W naczyniu tym znajduje się specjalny płyn, który przy naciśnięciu szczotki spływa kanalikami i zwilża szczotkę. Płynem tym „zmywa" się cały dywan, dzięki czemu uzyskuje on dawną świeżość i połysk barw. Po wyszczotkowaniu dywan musi przez 5 godzin schnąć. Dzięki nowemu wynalazkowi można oczyścić 100 metrów kwadratowych dywanu w ciągu jednej godziny.

Ciężki los nauczycielek na wsiach

Wiele młodych panienek dostaje się po ukończeniu seminarium czy liceum pedagogicznego do jednoklasowej szkoły powszechnej na głęboką wieś. Obejmują te niezwykle ciężkie posterunki pracy nauczycielskiej, nierzadko z zapałem, z młodzieńczą idealistyczną chęcią pokonania wszystkich trudności w dążeniu do stworzenia w najbardziej choćby odludnym i zapomnianym zakątku kraju, kulturalno-oświatowej placówki, jaką w ich słusznym rozumieniu powinna być każda szkoła powszechna. Okazuje się jednak wnet, że siły tych 19—20-letnich dziewcząt, ich najlepsze zapały nie dorównują ogromowi najróżniejszych utrapień, które wnet niby dzikie, wilcze głogi otaczają zewsząd życie samotnej panny-nauczycielki na wsi. Jak wiadomo, jest ona uposażona bardzo skromnie — ale i to, co otrzymuje miesięcznie stanowi prawdziwy majątek wobec biedy chłopów w wielu okręgach kraju. Rzesze nędzarzy wioskowych oblegają nauczycielki z prośbami o pieniężną pomoc, o pożyczki nigdy niezwracane łatwą niewieścią litość, zresztą w wielu wypadkach nauczycielka sama stwierdza, że nie sposób odmówić tych kilku groszy. Budzi się w niej przecież solidarność z dolą biedaka. Ta akcja pomocy społecznej, prowadzona z własnych funduszów nie jest jeszcze czymś najgorszym. Wkrótce młoda dziewczyna, przyzwyczajona do miasta, gdzie kończyła szkołę, do pobudliwego życia towarzyskiego i umysłowego — poczyna odczuwać w monotonnej głuszy wiejskiej coraz bardziej dokuczliwą nostalgię za dawnym, utraconym środowiskiem. Bo przecież życie polskiej wsi jest jeszcze przeważnie tak odległe od wszelkiej kultury i cywilizacji, że najbardziej heroiczne, indywidualne wysiłki nauczycielki nie przezwyciężają jego prymitywizmu. Występują coraz silniej własne intymne pragnienia, bo gdy się ma dwadzieścia parę lat, tak jest ciężko zrezygnować z prawa do osobistego szczęścia. Za kogóż jednak wyjść za mąż? Najbliżsi koledzy, koleżanki porozrzucani są w promieniu 6—7 kilometrów, a przeniesienie małżeństwa do jednej wspólnej, wybranej dla niego szkoły jest tak trudne!

Nostalgia za kulturą, samotność dokuczająca jak chroniczna choroba, zatruwają nieodporną, wymagającą opieki psychikę kobiecą coraz bardziej i wreszcie wybucha nerwowa choroba. Są liczby świadczące, iż młode nauczycielki, pracujące samotnie na wsi, pod trzydziestkę zapadają głównie na niedomagania nerwowe, których leczenie wymaga gruntownej zmiany środowiska. Jak długo los młodej nauczycielki polskiej będzie tragicznym losem „siłaczki" — tak przejmująco opisanym przez Żeromskiego!

Kobiety walczą o trzeźwość

W Holandii kobiety zajmują się bardzo gorliwie propagandą antyalkoholową. Znana tu jest przede wszystkim p. Arriens, która jest duszą tej akcji. Istnieje tu specjalna organizacja: Narodowa Komisja przeciw alkoholizmowi a urządza ona doroczne „Błękitne tygodnie", z pochodami i rozsprzedażą kwiatów, bo „błękitny kwiat" jest symbolem trzeźwości. Akcja ta trwa już od 24 lat, a Holandia posiada 60,000 zorganizowanych abstynentów. W większych miastach Holandii istnieją specjalne sklepy, należące do organizacji, gdzie sprzedaje się towary taniej, niż gdzieindziej, zajmując się równocześnie propagandą.

Szwajcaria posiada Związek Kobiet Abstynentek, liczący około 2,000 członkiń, co jest liczbą pokaźną w tak małym kraju. Organizacja aby dzieci wcześnie przyzwyczajały do trzeźwości. Walka z alkoholizmem jest tu szczególniej trudna, gdyż Szwajcaria posiada bogato rozwinięty domowy przemysł przetwórczy. Nie mogąc nadprodukcji owoców importować w całości za granicę, Szwajcarzy wyrabiają domowe wina i wódki, a nie istnieją tu żadne ograniczenia państwowe, tyczące się wytwórczości.

Najradykalniej walczą z alkoholizmem Niemki, które wpływając na kobiety, a przez nie na całe społeczeństwo pragnąc doprowadzić do tego, aby w karczmach i zajazdach przydrożnych w ogóle nie było wolno sprzedawać napojów alkoholowych lecz tylko napoje, wyrabiane z owoców dla ugaszenia pragnienia, oraz herbatę i kawę.

W Szwecji i Norwegii kobiety — zajmujące się propagandą antyalkoholową, wysuwają jako postulat najważniejszy: moment bezpieczeństwa ruchu, w przekonaniu, że wszelkie nieszczęśliwe wypadki na kolejach czy drogach spowodowane są najczęściej nietrzeźwością.

Kobiety różnych państw walczą o trzeźwość swego narodu, powodowane jak najlepszą intencją i podające różne praktyczne sposoby moralnego oddziaływania.

Pierwiastek polski w muzyce Szopena

I była w tym Polska, od zenitu
Wszechdoskonałości dziejów,
Wzięta tęczą zachwytu —
„Polska - Przemienionych Kołodziejów."
(Norwid).

W panteonie wielkich duchów, obok nazwisk trzech naszych narodowych wieszczów: Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego, błyszczy chwałą nieśmiertelnego geniuszu nazwisko Szopena, tego natchnionego poety tonów, którego „pieśń może najlepiej wtórzyła duszy narodu polskiego" na jej męczeńskim szlaku ku chwale... wtórzyła, budząc w niej pamięć najdotkliwszej krzywdy narodowej, jakie zna historia — zbrodnia rozbioru Polski.

Zrywała w duszy Polaków bunt rozpaczliwy, zapalała ogniem odwetu i budziła tęskne nadzieje.

Szopen przyszedł na świat w momencie, kiedy cały naród Polski szedł zapatrzony tęsknymi oczami w swoje odrodzenie, — było to po wielkich wypadkach dziejowych Friedlandu.

Oczy całej Europy zwrócone były wówczas na gwiazdę „boga wojny" Napoleona, u którego stóp leżał już jakby rażony piorunem zgnębiony cały zachód, a władza jego sięgała daleko na wschód.

Wspaniałe zwycięstwa pod Ulm, Austerlitz i Jeną otaczały glorią chwały imię wielkiego Napoleona, a zdruzgotane trzy wrogie mocarstwa pozwalały mniemać, że walcząc w Legionach pod sztandarem niezwyciężonego Imperatora i dla Polski wybije dawno oczekiwana godzina Wyzwolenia.

Jakże się zawiedli Polacy, mniemając, że swoją niezwykłą brawurą, szczytnymi porywami i płomiennym bohaterstwem, dzięki którym zrealizowane zostały zwycięstwa, którym Francuzi nie mogli sprostać i o które załamywał się nawet geniusz Napoleona, zdołają Ojczyźnie swojej wywalczyć utraconą niepodległość.

Bohaterskie polskie legiony znacząc swoją wspaniałą epopeję wielkimi ofiarami i bezprzykładnym męstwem, zyskali wprawdzie od samego Napoleona miano „najwaleczniejszych z walecznych" rozniosły po świecie chwałę polskiego imienia, ale nie zdołały zmienić niedoli znękanego kraju...

Wszystkich onych dni wpływy i prądy wchłaniał wrażliwą swą i natchnioną duszą Szopen, a wielki muzyczny jego talent dojrzewał w atmosferze tych wydarzeń i tego tragizmu dziejów naszych i dla tego w genialnych jego kompozycjach różnorodność tych nastrojów tak silnie dźwięczały, tak jest dziwnie piękna i bogata i albo wybucha paroksyzmem bólu i rozpaczliwym buntem, jak w Etiudzie C-moll i w dwóch preludiach, skomponowanych w Sztutgardzie po tragicznym powstaniu 1831 r. i upadku Warszawy, kiedy to nad poczynaniami Polaków powiało jakby tchnienie śmierci, albo upaja nas w polonezach swoich tymi rycerskimi poematami glorii i chwały walczących oraz ich wspaniałymi porywami wskrzesza pełne nieskończonego piękna wizje zmartwychwstałej Polski z czołem ozdobionym wawrzynami Polski z doby jej największej chwały, lub też uderza w nutę zwątpienia w tęsknych Nokturnach, w których snuje jakieś złowieszcze zwierzenia, smutne przeczucia, którymi wskrzesza widmo Wernyhory. Niekiedy znów tęsknotę swą przyobleka w cudny rytm mazurków, które przynoszą wraz z sobą ożywcze tchnienie ziemi polskiej, poszum płaczliwych wierzb i pogwar białych brzóz, a są takie polskie że już Schumann miał się wyrazić, że „gdyby samowładny monarcha północy wiedział jakich ma wrogów w skromnych melodiach Mazurków, zakazałby takiej muzyki, która jest armatami, ukrytymi wśród kwiatów..."

Całe bogactwo swojskiej nuty posiada również w wysokim stopniu ta cicha i przedziwnie słodka kołysanka, która przywodzi na pamięć czasy, kiedy to matki Polki pochylone nad kołyską nuciły jeszcze tak nieśmiało pieśń Wyzwolenia...

Jak widać cała wspaniała twórczość Szopena przepojona jest na wskroś pierwiastkiem polskim, w którą genialny Mistrz tonów zaklął „żywą moc narodu" ucieleśniając swoją muzyką sztukę narodową. — Stał zawsze na straży myśli polskiej, broniąc jej od hańby wynarodowienia i poprzez zwątpień odmęt, wierząc niezłomnie w Zmartwychwstanie Polski...

Stojąc w Paryżu na Père Lachaise, przed skromnym pomnikiem genialnego twórcy tonów Szopena, który „odszedł, gdzie już czas przed jego nieśmiertelnym duchem i cichym nie bieży", pochylmy głowy z największą czcią szeptem powtórzmy za jednym z poetów „w grobie twym mieszka nie śmierć, lecz natchnienie" o Wielki Narodowy nasz Wieszczu...

Janina Betza.

KRYSTYNA ANNA

Stefan i Anna

Stefan dostał list od Anny: „Stefku! Nie piszesz zbyt długo jak na taką „wielką" miłość. Podobno bawisz się — echo słychać aż tutaj. Mówiłeś, że „masz mnie we krwi"... hm... Obawiam się, że krew Twoja została mocno rozcieńczona alkoholem. Pamiętasz?... Powiedziałam że rywalizować z nikim nie będę. To powtarzam ci teraz i trzymając się jak zwykle tego, co powiedziałam — z walki rezygnuję. Życzyłeś mi, bym się raz koło Wielkiejnocy zakochiwała... ja życzę sobie, bym się koło tegorocznej Wielkiejnocy odkochała. Sądzę, że żalu do mnie nie masz — uprzedziłam, a słowa, jak wiesz dotrzymuję. Do Wilna prawdopodobnie nie przyjadę.

Bądź zdrów Anka.

— A więc koniec... — myśli. Nie wierzy... Czyta drugi raz, trzeci i martwym wzrokiem zaczyna wpatrywać się w filar naprzeciwko...

— Dlaczego on tak pękł?... zupełnie jak po wybuchu petardy. — szarpnął się my-

ślą gdzieindziej, bo to przypomniało mu niemiłe przeżycia...

— Mam Kazikowi oddać zaraz dziesięć złotych. Skąd wziąć? — myślał... Kombinował, liczył, aby jak najdalej uciec od tej kartki papieru, którą trzymał w ręku. Była z jednej strony biała, chłodna — zwyczajnie jak papier, ale dla niego był to kawał lodu — taki sam miał w sercu...

Machinalnie poszedł na górę, ubrał się i wyszedł na miasto.

Błądził ulicami aż do zmroku... Poczuł nagle głód. Był właśnie na Mickiewicza, naprzeciw „Bristolu". Wszedł. Przy jednym ze stolików siedziała zwykła jego paczka przyjaciół — od kieliszka: filister i barwiarz z jego konwentu i dwóch fuksów z „Petardii". Stefan przywitał się z nimi i nadrabiając miną zabrał się od razu do opróżniania podstawionego mu kieliszka...

Przez długą chwilę pił w milczeniu, nie biorąc udziału w rozmowie.

— Stefek, z tobą coś nie „w deser"... — rzekł jeden z nich. Nie wiedział nawet który.

— Ależ zdaje ci się — odparł spokojnie.

— Cóż u ciebie słychać? Dawno nie widzieliśmy się — już chyba dwa tygodnie jak ciebie zabrali? —

— A tak, wczoraj wyszedłem, — zamyślił się. Dwa tygodnie... dwa tygodnie... Przecież nie mogłem pisać... — Nudno tu — stwierdza nagle z wszelką pewnością.

— Może zmienimy lokal, co? — Stefan pyta uporczywie, z nadzieją, że wyjdą.

— A no, jeśli tak koniecznie — to chodźmy.

Wyszli na ulicę.

Było dość wcześnie, ale na ulicy było prawie pusto. Zapach nagrzanej słońcem ziemi i wygwieżdżony granat nieba wyciągnął wszystkich „jerkowych" łazików za miasto, w zaułki, do Bernardynki i w inne, prześliczne kąciki, których w Wilnie jest pełno...

Stefan miał już właściwie dość. — Przystanął, popatrzył na kompanów i...

— Eh, mam dość — nie pójdę. Czołem! — wsadził ręce w kieszenie i poszedł.

...Sam nie wiedział, gdzie i poco?...

Chodził... po ulicach do późna w noc. Nie wiedział kiedy znalazł się w Bernardynce. Usiadł na ławce nad Wilenką i wtem — poczuł w kieszeni papier.

To był list... list od Anny!

Wyrwał go z kieszeni i począł drzeć... drzeć na drobne kawałeczki! Nie przestał, dopóki pod nogami nie zabieliło się od drobnych jak mak kawałeczków papieru. Wyjął papierosa i zapalił.

— Nie myśleć, za wszelką cenę — nie myśleć!...

— Boże! Jaka podła i jaka zła — jak nikt, i zawzięta. Gdyby wiedziała jak ją kocham... gdyby wiedziała... — Miłość, żal i tęsknota za Anną ogarnęły Stefana tak silnie, tak boleśnie, że poczuł fizyczny niemal ból...

Już nie zły i dumny, ale zgarbiony, pijany tęsknotą wstał ociężale z ławki i powlókł się do domu. Ulica wydała mu się pustą i kamienistą drogą jego życia... uśpione miasto — cmentarzem miłości, marzeń i szczęścia...

Wybrał najcięższą drogę — cały czas pod górę: Ludwisarską i Małą Pohulankę.

Szedł do domu.

Pomyślał: — czy czasem nie zawrócić i nie pójść do Ostrej Bramy? — Ale nie!

— Nie pójdzie za nic! — Nie chce iść tam, gdzie kiedyś razem byli. Prosił wtedy i modlił się jak nigdy..., całym sercem... Prosił, aby Ona — Matka wzięła ich miłość w opiekę i żeby dała mu przez to choć tochę szczęścia...

A Ona nie wysłuchała!... O, jakże głupi i naiwny był wtedy! — Ogarnął go bunt, wielki i nierozumny...

— Dlaczego? Za co taka krzywda?... Nie pójdzie tam nigdy! —

Nie pisał do Anki, bo nie mógł, a najgorsze jest to, że nie może jej już teraz wytłumaczyć tego. Zna ją tak dobrze... wie, że już jej w domu nie ma, że wyjechała w jedną z tych swoich „podróży w nieznane" — bez celu. Aby dalej, gdzieś... szukać nowej przygody — nowych wrażeń... A do Wilna nie przyjedzie na pewno — już nigdy!...

Stefan spojrzał w górę; przechodził właśnie koło „jej" okna. Spędzili tam razem parę szczęśliwych, ale i burzliwych miesięcy. (Anna nie znosiła monotonii — zawsze znalazła jakiś powód do sprzeczki, lub zazdrości... — lakież słodkie były przeprosiny...) Zawsze kusiło go i ciągnęło to okno swoim ciepłym, różowym blaskiem — i zawsze ulegał... Dziś było puste i nieme.

— Anko, gdzie jesteś teraz? Wróć do mnie!... — wargi Stefana poruszają się w gorącym szepcie, jak w modlitwie. Czuje, że za chwilę coś się z nim stanie.

— Prędzej — do domu. Byle prędzej...

Dzwoni niecierpliwie, ostro. Nareszcie bramę otwierają. Wpada, przebiega hall, schody i drżącymi rękami otwiera drzwi swego pokoju. Zamyka... siada ciężko na łóżku...

— Koniec — mówi głucho. — A więc nigdy już?... Anko! przecież ja bez ciebie nie umiem już żyć!... — Uczuł nagle ostry, dojmujący ból w sercu — znał go doskonale.

Serce. Chorował na nie od dawna. Najdrobniejsza przykrość czy zmartwienie groziło katastrofą, a w każdym razie silnym atakiem. Tak orzekli lekarze.

— I ona o tym wiedziała... I taki list — taki list...

Ból stawał się coraz ostrzejszy. Serce zdawało się Stefanowi sto, milion razy większe! Sięgało gardła... dławiło! W płucach brakowało tchu. Pokój wirował... leciał gdzieś — pędził... Stefan dusił się.

— Powietrza... powietrza! — ostatkiem sił dowlókł się do okna. Otworzył... Na moment rozjaśniło mu się w oczach. Ale ból wzmagał się, serce waliło jak młotem. Chwiał i uginał się szybko, rytmicznie w takt uderzeń... i nagle...

Otwarta szuflada biurka i...

— Jest, jest wyjście..., — siada na krześle... pisze:

„Anno!"

W ciszy nocy rozległ się krótki, suchy trzask, jakby tłumionego wystrzału i niegłośnym echem rozległ się w korytarzu...

Ktoś krzyknął, ktoś zaklął... Gdzieś na wieży zegar wydzwonił czwartą.

Na ulicy lampy otulone woalem mgieł — gasły... zasypiały. Miasto przycichło... Gdzieś, od Wilii szła blada, zimna i szara jasność... Niebo na krańcach różowiało... Świtało...

—o—

Anna wiedziała, że pojedzie do Wilna — wiedziała od razu pisząc list do Stefana. O, zanadto go kochała, by mogła odejść... To była jej pierwsza miłość, przeogromna... Spełnione marzenia długich, samotnych wieczorów i nocy tęsknych i bezsennych. Przyszła nagle i porwała ją od razu całą — bez reszty... Rozpaliła krew i obudziła ją z jakiegoś ciężkiego snu do życia. I teraz miałaby odejść?... Ale ten list napisać musiała — na wszelki wypadek. Może znalazł inną, a o niej zapomniał?... Nie pisał dwa tygodnie... Na myśl o tym Anna uśmiechnęła się. —

Dwa długie tygodnie... Szare, nudne dnie i nie chciała się do tego przyznać — bezsenne, niespokojne noce.... Noce... Ich noce... Szalona była wtedy! Nie pamięta nawet jak to się stało... Och, ale jest taka szczęśliwa teraz — i nie żałuje... To były cudne, nigdy niezapomniane chwile... Było ich tak mało — i może dlatego są takie cudne?... Może lepiej odejść teraz i tęsknić, niż wrócić i czekać na przesyt?... Nie! — Pojedzie na pewno. Może nawet jutro? — Zawsze decydowała się w ostatniej chwili na podróż. Anna lubiła bardzo podróże, ale właśnie takie nagłe i bez określonego celu. Jechać z pytaniem: co będzie?

Siedziała przy biurku w swoim pokoju. Było już późno — koło pierwszej. Na dworze było zimno, padał deszcz i wicher wył jakoś dziwnie przejmująco... Anna wstrząsnęła się... wstała i wolno zaczęła się rozbierać.

Pomyślała nagle o tym, że przecież Stefan jest chory na serce i że ją kochał jak wyjeżdżała. Może nie mógł pisać... A ona taki list do niego napisała... Może się przejmie i zmartwi tym listem?... O Boże? Co ja zrobiłam?! Ogarnął ją lęk i zaraz po tym rezygnacja i opanowanie, że... przepadło...

— Już teraz nic na to nie poradzę. Ale nie, na pewno nic mu nie będzie. Może go nie ma i nie dostał jeszcze tego listu?... Na pewno. — Położyła się i za jakiś czas zasnęła.

Śnił się jej jakiś duży park i moc kwiatów. Wszystkie były siane przez nią i coraz to nowe, piękniejsze wyrastały pod jej rękami. W pewnej chwili przyszedł do ogrodu Stefan i zaczęli wyrywać razem jakiś prześliczny, olbrzymi, purpurowy kwiat. Rósł bardzo głęboko w ziemi i niemało wysiłku kosztowało ich wyrwanie go. — Wreszcie wyrwali. Spojrzeli z pytaniem na siebie, bo właściwie żadne z nich nie wiedziało poco wyrywa. Stefan wziął kwiat w ręce i spojrzał długo, przejmująco w oczy Anny... Kwiat wiądł szybko. Płatki zaczęły się sypać wolno... po jednym do jej stóp... I nagle Anna słyszy wyraźnie strzał. Stefan zachwiał się i runął na ziemię! Anna widzi jak płatki zamieniają się w krew... Chce krzyczeć i nie może! Obudziła się. Krzyk uwiązł jej w gardle. I nagle cicho, tuż koło niej jakiś głos szepnął wyraźnie: „Anno"...

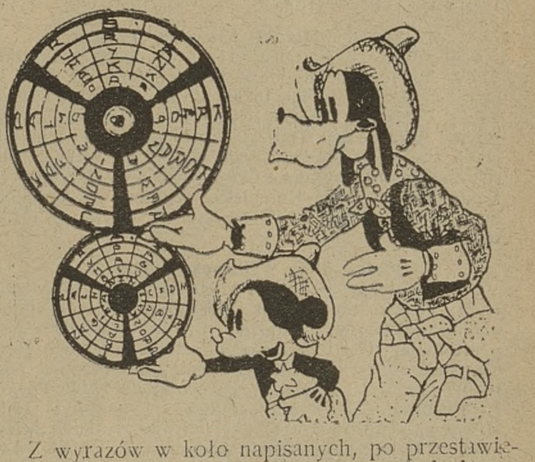
Poznała — to był głos Stefana! Oszalała z trwogi zerwała się, zapaliła światło... spojrzała na zegar: — było pięć po czwartej...

W pół godziny Anna siedziała w aucie swego ojca. Prowadziła sama — licznik wskazywał 60 km. miejscami 65. Zwiększać szybkość było by szaleństwem na poleskich drogach. Wóz skakał, trząsł po korzeniach i wybojach — aż szofer Roman niespokojnie patrzył na kierownicę i na jej ręce... Przestrzeń do Sarn odległych o czterdzieści kilometrów, przebyła w pół godziny. W Sarnach okazało się, że do najbliższego pociągu musi czekać około trzech godzin.

(Dokończenie nastąpi.)

CHWILA ZASTANOWIENIA

Logogryf Wirowy
ułożył F. Gałecki



Z wyrazów w koło napisanych, po przestawieniu liter utworzyć inne wyrazy, a w kołach zewnętrznych będzie rozwiązanie. Początki rozwiązania oznaczone kropką.

Szarada
pod „Eros".

Do trzecich podpisz przecie
Co $1/2$ drugiej pierwsze w lecie,
A gdy do Gdyni zjedziesz
Ciekaw $1/2$ czwartej dodasz
Pół narodu już tylko zatrzymasz,
A wszystko razem to coś dla oka,
Urządzane na lądzie, wodzie i w obłokach

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, dn. 11 listopada br.

Rozwiązanie zadań z numeru 43 „Moich Powieści":

I. Krzyż magiczny:

			M	N	K			
			A	A	A			
			R	C	W			
M	A	R	S	Z	A	Ł	E	K
N	A	C	Z	E	L	N	I	K
K	A	W	A	L	E	R	I	A
			Ł	N	R			
			E	I	I			
			K	K	A			

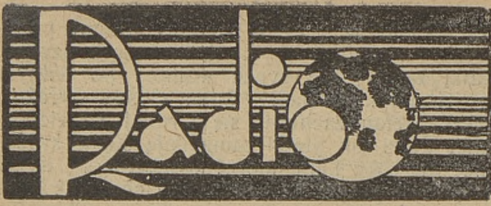
1. Marszałek. 2. Naczelnik. 3. Kawaleria.

II. Kwadrat magiczny:

1) Walek, 2) Arena, 3) Lejek, 4) Enema, 5) Kakao.

Trafne rozwiązania nadesłali p. p.: Podhalicz Stefan — Lwów, Filarska Maria — Grudziądz, Witkowski Jacek — Warszawa, Mróz Jan — Lwów, Andraszakówna Stefania — Bilczew, Kawecki Wincenty — Modzerowo, Golimuntowicz Wanda — Dukla, Lenart Tadeusz — Rakowice, Lipowska Stefania — Myszków, Stanisław Betoniak — Kórnik.

Nagrody w drodze losowania przypadły p. p. Filarskiej z Grudziądza i Mrozowi ze Lwowa.



Niedziela, dnia 6 listopada 1938 r.

7.15 Audycja poranna 9.15 Transmisja nabożeństwa ze Lwowa 11.45 Muzyka lekka w programach radiowych — omówi Michał Jaworski, zastępca kierownika wydziału muz. P. R. 12.03 Poranek symfoniczny z Wilna 13.00 Wyjątki z pism Józefa Piłsudskiego 13.15 Muzyka obiadowa z Katowic 14.40 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci 15.00 Audycja dla wsi 16.30 Recital skrzypcowy Kerttu Wanne 17.30 Podwieczorek przy mikrofonie 19.30 Najnowsze nagrania Edwina Fischera (płyty) 21.00 Radio-kabaret — audycja z Krakowa 21.40 Kukułka Wileńska: „Wesele Robinsona" 22.10 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, dnia 7 listopada 1938 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 12.03 Audycja południowa 13.00 Pogadanki dla kupców i rzemieślników 13.30 „Schubert" — audycja muzyczna dla gimnazjów 15.00 „Legenda o młodym królu" — audycja dla młodzieży 15.30 Muzyka obiadowa 16.30 Polskie miniatury fortepianowe 17.00 „Droga handlowa: Śląska — morze" — pogadanka 17.25 Koncert solistów 18.00 Audycja dla wsi 18.30 Koncert rozrywkowy orkiestry Rozgłośni Wileńskiej 18.48 „Jak się tworzyła Legia Akademicka w r. 1918" — wspomnienia uczestników: gen. Sawickiego, płk. Ziemnickiego i innych 19.00 Audycja żołnierska 19.30 Koncert rozrywkowy 21.00 Recital skrzypcowy Emila Telmanyi 22.00 Nowe nagrania słynnych orkiestr symfonicznych (płyty).

Wtorek, dnia 8 listopada 1938 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 12.03 Audycja południowa 15.00 „Mam 13 lat" — powieść dla młodzieży 15.30 Muzyka obiadowa 16.25 Pieśni polskie i obce wyk. Fr. Platówna 17.10 Recital skrzypcowy Tom. Jaworskiego 17.30 Z pieśnią po kraju 18.00 Audycja dla wsi 18.30 Audycja dla robotników 19.00 Koncert rozrywkowy 21.00 Koncert symfoniczny 22.00 Kompleks wielkości i kompleks małości — odczyt 22.17 Sonaty na sklrzypce i fortepian.

Środa, dnia 9 listopada 1938 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.25 Wesołe uwertury z płyt 12.03 Audycja południowa 15.00 „Nasz koncert" — audycja dla dzieci i młodzieży 15.30 Muzyka obiadowa z Łodzi 16.15 Czy dziecko powinno mieć własne pieniądze — pog. 16.30 „Sylwetki lutnistów staropolskich" 17.00 „Powrót J. Piłsudskiego z Magdeburga" — odczyt 17.15 Miniatury kwartetowe 17.40 Audycja w dniu Święta Straży Granicznej 18.00 Audycja dla wsi 18.40 Dyskutujmy: „Jednostka czy zbiorowość" 19.00 Koncert rozrywkowy w wyk. Małej Orkiestry P. R. 21.00 Opowieść o Chopinie: „Etiudy" 21.45 Poezja wieku złotego 22.00 Dyryguje Artur Toscanini — koncert z płyt.

Czwartek, dnia 10 listopada 1938 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 12.03 Audycja południowa 15.00 „Po 20 latach" — pogadanka dla młodzieży 15.15 Muzyka obiadowa ze Lwowa 16.15 „Stalowa wola" — pogadanka dla młodzieży licealnej 16.35 „Piękna nasza Polska cała" — audycja zbiorowa ze wszystkich rozgłośni Polskiego Radia 17.35 Mikrofony na ulicach Warszawy 10 listopada 1918 r. — fikcyjna transmisja przeszłości 18.05 Audycja dla młodzieży wiejskiej 18.30 Przemówienie Pana Prezydenta R. P. prof. Ignacego Mościckiego — transmisja z zamku królewskiego w Warszawie 18.45 „Szlakiem marszałka Józefa Piłsudskiego" — suita muzyczna Mariana Rudnickiego 19.30 „200 lat żołnierza polskiego" — audycja słowno-muzyczna 20.00 Koncert muzyki polskiej 21.00 „Pochodnie wieków: Polska wschodzi" 21.30 Capstrzyk — audycja zbiorowa rozgłośni P. R. 22.30 „Spełnione proroctwa" — kwadrans literacki 22.50 Ojczyzna — psalm Feliksa Nowowiejskiego 23.05 Koncert propagandowy muzyki polskiej.

Piątek, dnia 11 listopada 1938 r.

6:30 Audycja poranna „11 listopada" 7.15 „Od mazurka Dąbrowskiego do I-ej Brygady" — audycja muzyczna 8.15 Muzyka polska 8.45 W 20-tą rocznicę odzyskania Niepodległości Polski — transmisja uroczystości z Warszawy i rozgł. regional. 13.00 Muzyka obiadowa 14.30 „Wojsko polskie w pieśni ludowej" — audycja muz. 15.00 „Polska w dniu 11 listopada 1918 r." — audycja zbiorowa 16.00 „Dzień wolności — dzień radości" — koncert rozrywkowy 18.00 Symfonia Polski Odrodzonej — montaż liter.-muzyczny 19.00 Przemówienie 19.15 Polska muzyka — koncert 20.00 Uroczysty koncert z Filharmonii Warszawskiej 22.15 „Wielkości, komu nazwę tę przydano — audycja lit.-muz. 22.45 Koncert orkiestry wojskowej.

Sobota, dnia 12 listopada 1938 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 12.03 Audycja południowa 15.00 „Gdy śpiewają polskie dzieci" — audycja dla dzieci 15.30 Muzyka obiadowa 16.30 Flet i harfa — koncert z płyt 17.00 „Don Pasquale" — skrót operowy 18.00 18.00 Audycja dla wsi 18.30 Audycja dla Polaków zagranicą 19.00 Przemówienie 19.15 Koncert muzyki lekkiej 21.00 Humor i satyra 23.15 Muzyka taneczna z płyt.



USPRAWIEDLIWIONY

— Jasiu! Twoje zadanie domowe na temat „Moja matka" brzmi niemal dosłownie, jak zadanie twego brata.

— Tak mamy przecież tę samą matkę.

WEDLE ŻYCZENIA

Jegomość pragnący się ożenić, ogląda fotografie swoich ewentualnych „przyszłych" w biurze pośrednictwa małżeństw. Na widok jednej fotografii mówi:

— Twarz tej pani podoba mi się, czy ona jest blondynką?

— Jeżeli nawet nie jest, to może być zupełnie według życzenia szanownego pana, w każdym odcieniu.

REMONT

— Dlaczego Hala jest taka ostatnio milcząca?

— Zamknięta z powodu remontu.

— Nie rozumiem...

— Oddała swoje sztuczne zęby do naprawy.

ŚWIETNY ŻART

Przed wejściem do szkoły stoi gromadka dzieci. Podchodzimy bliżej. Dzieci są bardzo zadowolone.

— Z czego się tak cieszycie, moje dzieci? — pytamy.

— Bo ktoś przybił wywieszkę z sąsiedniego kina na naszych drzwiach. — A co tam jest napisane?

— „Dzieciom poniżej lat szesnastu wstęp wzbroniony".

PRZEZORNY

— Dlaczego kazałeś pomalować twój wóz z jednej strony na czarno, z drugiej strony na biało?

— Bo chcę uprzedzić wypadki, aby zeznania świadków były sprzeczne!

W APTECE

— Jakże, gospodarzu, czy dobra była ta trucizna na myszy, którą wam dałem?

— A juści! Tak się spasły gałgany, że nie mogły wejść z powrotem do dziury i wszystkie kot wyłapał.

DLACZEGO

— Dlaczego chcesz się z nią ożenić?

— Kocham ją.

— Mój drogi to jest usprawiedliwienie, ale nie powód.

KOBIETA I TAJEMNICA

— To ciekawe, że autorami kryminalnych powieści są przeważnie mężczyźni!

— Całkiem jasne! Któraż z kobiet potrafiłaby do ostatniego rozdziału utrzymać tajemnicę, kto jest głównym sprawcą dramatu?

U LEKARZA

Lekarz: — Pan mówi ciągle do siebie? To nic groźnego. Wiele ludzi cierpi na tę chorobę.

Pacjent: — Tak, ale, ja jestem tak nudny...

KTÓRY ŚWIAT?

Ajent namawia klienta na kupno motocykla:

— Dzięki tej maszynie zobaczy pan świat...

— Ten czy tamten? — pyta klient.

W ANTYKWARNI

Do antykwarni wchodzi mały chłopczyk i prosi o atlas. Subiekt pyta:

— Kawaler życzy sobie nowy czy używany?

— Może być stary, ale Ameryka to już musi być w nim musowo.

WYPADEK

— A tu, proszę państwa — mówi przewodnik — znajduje się słynna góra śmierci. Wejście na nią jest zbyt niebezpieczne. W zeszłym roku wdrapało się na szczyt dwóch młodych turystów. Już tędy nie wrócili!

— To straszne i nie wiadomo, co się z nimi stało?

— Owszem, zeszli po drugiej stronie.

MATEMATYK

— Czy jesteś pewny, że Wanda jest od ciebie starsza?

— I to nawet dwa razy. Kiedy miała dwa lata, ja miałem dopiero rok.

BIBLIOTEKA

Odwiedzam Tomka. Pokazuje mi z dumą swą bibliotekę.

— Popatrz, ile mam tu książek.

Biorę do ręki pierwszą książkę. Patrzę na tytuł — „Poradnik dobrych manier". Tytuł drugiej książki — „Jak zachować się w towarzystwie". Trzecia książka nosi tytuł — „Podręcznik towarzyski". Czwarta książka — „Jak zachowuje się dżentelmen?"

— Skąd masz te wszystkie książki?

— Podarowano mi je! — odpowiada z dumą Tomek.

DOBRY SPOSÓB

Pan profesor doktór K., znakomity uczony i wybitny specjalista jest kiedyś w swojej klinice i słyszy jakieś zamieszanie.

— Co się stało? — zapytuje asystenta.

— Ach, panie profesorze, wielka nieprzyjemność! Pielęgniarka zamieniła dwoje niemowląt i teraz nie wiadomo, które jest której matki!

— Co za brak rozgarnięcia! — oburza się na to profesor. — Przecież to takie proste! Teraz trzeba tylko zamienić obie matki i będzie wszystko w porządku.

KŁOPOTY JAROSZA

— Dokąd tak spieszysz?

— Do jarskiej restauracji.

— Czy taki głodny jesteś?

— Nie, ale obiad mi zwiędnie.

SPOKÓJ

— Mamusiu, prawda, że naszego braciszka przysłano nam z nieba...

— Tak, moje dziecko...

— Aha — to pewnie tam lubią spokój.

RZECZOZNAWCA

— Tatusiu, jak się mówi: le coeur, czy la coeur?

— Mówi się: likier.

SŁUSZNE PYTANIE

— Modziu, oducz się pokazywania palcem ludzi. To jest nieprzyzwoite.

— A to dlaczego ten palec nazywa się wskazującym?

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3.00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50, Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp. wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207 393. — Telefon 32.

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych. 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 25 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 25 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne á 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów á 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Krzycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Krzycki w Żninie.

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1.